Nr. 35. Kraków, dnia 28 sierpnia 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Nasze mieszczaństwo.

Zamieszczając w ostatnim „Tygodniku Narodowym" głos p. Z. Z.,zastrzegliśmy sobie wyrażenie naszej opinii w sprawie mieszczańskiej na później. A przystępując do sprawy mieszczańskiej, musimy zaznaczyć, że na razie omawiać ją będziemy jako zjawisko społeczne w sposób naukowy, a wyciągnięcie wniosków praktycznych będzie rzeczą dalszej dyskusyi i Czytelnika.

Mieszczaństwa w znaczeniu zachodnio-europejskiem, tj. trzeciego stanu posiadającego, nie mieliśmy wcale, a do tej pory nie ma go jeszcze Galicya. Polska nie przedstawiała terenu użytkownego dla handlu i przemysłu po miastach, a obcemu mieszczaństwu odmawiała racyi bytu. Arabowie, żydzi, Niemcy, Włosi, Anglicy przychodzący do Polski, nie zdołali jej pchnąć na nowe drogi, sami musieli się cofać lub ulegali asymilacyi; utrzymali się jedynie żydzi, poświęcający się handlowi eksportowemu i pieniężnemu (kredyt) i ujmujący w swe ręce handel miejscowy. Ale żydzi nie odegrali w handlu i przemyśle roli kierowniczej: nie umieli oni handlowi ani przemysłowi nadać nowych dróg, nowych form, bo w ogóle, przeglądając działalność żydów, przekonywamy się rychło, że o ile potrafią oni ogarniać cały dotychczasowy dorobek w jakiejkolwiek dziedzinie, o tyle nie umieją wcale stworzyć nowych warunków rozwoju; tak bardzo charakterystyczne dla żydów galicyjskich są kramikarstwo i propinacya, a w tych dziedzinach przejawia się typ handlarza żydowskiego, bo o ile kto poszedł wyżej, był wyjątkiem.

O ile nie mamy mieszczaństwa, o tyle mamy *drobnomieszczaństwo* (rzemieślnicy, handlarze i drobni przemysłowcy). Stoi ono stosunkowo bardzo nizko pod względem swych potrzeb kulturalnych i dobrobytu materyalnego. Jakże jednak możemy się czego od drobnomieszczaństwa domagać, skoro nie zajmował się niem do ostatnich czasów nikt ani państwo, ani kraj, ani społeczeństwo.

Rzemiosło nasze pod względem zawodowym cechuje konserwatyzm. Nie rozumieją rzemieślnicy pomimo tradycyi cechowej zasady solidarności i są mało oświeceni. Ich spółki rozmaite zawodowe najczęściej prosperują bardzo słabo; wskutek braku kapitału rzemiosła mają pracę bardzo utrudnioną, a przy znanej u nas powszechnie lekkomyślności i nieudolności, niema prawie rzemieślników, dostarczających towaru swego na czas, niezadłużonych u handlarzy miejscowych, nie żądających zaliczek na materyał a często i na robotą. — Brak kredytu dla naszego rzemiosła jest rzeczą wprost przygniatającą: kasy Raiffeisenowskie, do których przywiązywano duże nadzieje, dają kredyt wszystkim, a jak najmniej rzemieślnikom. — Brak naszym rzemieślnikom oświaty zawodowej: po szkole ludowej (często zamiast niej) chłopak idzie do terminu, jako czeladnik pracuje tam, aby jak najszybciej dorobić się samoistnego warsztatu. Mało jest u nas rzemieślników, którzy mają szkołę wydziałową, mniej jeszcze takich, co pracowali za granicami kraju: odbijają oni korzystnie od ogółu.

Przemysł nasz stoi ciągle jeszcze pod znakiem rzemiosła. Pomiędzy przedsiębiorstwami przemysłowemi najwięcej ludzi zatrudniają samodzielne warsztaty rzemieślnicze (jest ich 73.000 z 163.000 ludzi), zwłaszcza te warsztaty, które zatrudniają 2 do 5 osób (38 000 z 101.500 ludźmi).

W latach ostatnich w państwie austryackiem powołano do życia: zakład popierania drobnego przemysłu i utworzono: instytucyę inspektorów przemysłowych. Są to instytucye bardzo wiekiego znaczenia. W krajach czeskich i niemieckich wpływ ich zaznaczył się już bardzo silnie; już nawet w Galicyi działalność ich miała sposobność zaznaczyć się dodatnio. Bezwątpienia są to początki słabe i konieczne jest w tym kierunku silne poparcie społeczeństwa.

Przystępujemy do sprawy, o którą p. Z. Z. chodziło przedewszystkiem: o stosunek inteligencyi do mieszczaństwa. Bo pamiętajmy, że wiek XIX „stworzył“ niejako nową warstwę społeczną: inteligencyę, sferę ludzi, żyjącą głównie pracą mózgu, mechaniczną lub twórczą. Inteligencya, w której żywioł urzędniczy przeważa, jest, (a raczej: staje się) obecnie najsilniejszym i najwpływowszym czynnikiem społecznym we wszystkich narodach.

Owóż inteligencya galicyjska ma wobec mieszczaństwa przewiny ogromne. Frazes patryotyczny zastępował dotąd czyn rzetelny: w święta uroczyste poiło się pięknie brzmiącem słowem: „pan obok mieszczanina“, a w pracy codziennej nie dbano o podniesienie oświaty zawodowej i produkcyi rzemiosła, o zbliżenie się kulturalne mieszczaństwa do innych sfer społecznych. Mieszczaństwo w dobie obecnej zasklepiło się ogromnie w sobie; nie pochwalamy ani uznajemy tego faktu, ale go rozumiemy: musieli oni sobie stworzyć osobne środowiska życia towarzyskiego, w których wskutek ogólnych stosunków odosabniali się od reszty. Po miastach i miasteczkach niekiedy „Gwiazdy“ stanowią takie twierdze, że nawet T. S. Ł. nie ma do nich wstępu.

Stan taki bezwątpienia jest przykry; uważamy go za mający się ku końcowi, a symptomy końca widzimy w tem, że coraz częściej w kołach inteligencyi mieszczaństwo stanowi posterunek najważniejszy przy pracy — i w tem, że samo mieszczaństwo przez stworzenie związku „Gwiazd“ podczas uroczystości grunwaldzkich w Krakowie zaczyna z całym ruchem odrodzeniowym współdziałać.

Dzisiaj kwestya drobnego przemysłu, a stąd i kwestya naszego mieszczaństwa jest sprawą: *oświaty zawodowej, samopomocy gospodarczej, poparcia* rzemiosła przez *państwo* — ale wprowadzenie mieszczaństwa na nowe drogi, dobre zużycie wszelkich ewentualnych udogodnień zależy wyłącznie niemal od czynnego *zainteresowania* się sprawami rzemieślniczemi *inteligencyi* i społeczeństwa.

To zasadniczy warunek powodzenia.

***

Z wakacyi.

Listy do Czytelnika.

III.

Miło jest wypocząć na łonie przyrody w otoczeniu takiego ludu, jak polski. W ciągłem z nim obcowaniu widzi się ogromną jego siłę wewnętrzną i wartość.

Lud polski przedewszystkiem odznacza się ogromnemi siłami żywotnemi. W duszy chłopa żyje ogromna tężyzna i energia: na małym zagonie, uznojonym pracą jego i potem, chłop stwarza sobie takie warunki bytu, które pozwalają mu na normalny żywot, na znoszenie wszelkich ciężarów, jakie spadają nań z wszystkich niemal stron, począwszy od „łaskawego“ rządu, a skończywszy na byle jakim „gryzi piórku“.

Chłop nietylko, że znosi to wszystko, ale w trudzie potrafi rozrastać się kulturalnie i gospodarczo. Instytucye ekonomiczne chłopskie, jak Kółka rolnicze, o których dorobku „Tygodnik“ pisał niedawno, lub Spółki oszczędności i dobrobytu, są najpiękniej rozwijającemi się instytucyami u nas. Wzrost ich świadczy pięknie o silnie rozwiniętej u ludu idei solidarności społecznej i zmyśle organizacyjnym.

W przeciwstawieniu do chłopa ruskiego, który obok konserwatyzmu reprezentuje brak energii życiowej, osowiałość i lenistwo, cechy charakteryzujące typy niewolnicze — chłop polski reprezentuje swobodę i niezależność. Objawia się to zarówno u ludu mieszkającego na dolinach, który bardzo szybko dojrzał do życia społecznego i politycznego, a jeszcze bardziej u ludu, zamieszkałego w górach.

Tu lud wychowała sama przyroda, nie skrępowana żadnymi przymusami. Tu lud jest czcicielem entuzyastycznym swobody i wolności. Zamieszkały w okolicach, które za czasów Rzeczypospolitej były przeważnie królewszczyznami, lud nie zaznał prawie pańszczyzny i stąd dusza jego nie ma żadnych prawie cech duszy pańszczyźnianej. Nieugięty i dumny swoją przyrodą, góry swoje kocha fanatycznie i fanatycznie przywiązany jest do swej ojcowizny. Kiedy go nędza wyżenie za morze po chleb i pieniądze, to stamtąd przysyła z trudem uciułany grosz do kraju na chałupę, grunt, rodzinę; i nigdy tam prawie nie zostanie na pobyt nieustanny, bo ciągną go góry i tęsknica do swoich. Swoboda i umiłowanie wolności wyrobiły w nich niezależność duchową i poczucie godności własnej. I dlatego nie ugnie się on przed przemocą i przed nieszczęściem: oprze się przeciwnościom, on, chłop, wychowany wśród skał i przepaści, na wyżynach niebotycznych, dumnie wystrzelających w górę, mających nad sobą Boga i przestwór jedynie.

Sfax.

Dwór polski w Poznaniu.

Kuryer Poznański, w num. sobotnim z dnia 20 b. m. zamieszcza następujące wspomnienie historyczne:

Dawne dzieje... Pamięć tylko po nich pozostała na pożółkłych pergaminach, na butwiejących kartkach kronik polskich, na barwnej tęczy prastarej pamięci ludu, dumającego w smętnej legendzie o przeszłych dniach sławy...

Dawne dzieje... Na Ostrowie, otoczone palisadami i rowami, stanęło zamczysko Mieczysława, do którego jeszcze w połowie dwunastego wieku chroniła się ludność Poznania przed nawałą niemiecką. Nowy zamek wybudował Przemysław, odnowił go Kazimierz Wielki, a po pożarze w 1856 r. podźwignął go Andrzej Górka, starosta wielkopolski. I znów po najeździe szwedzkim naprawił stary zamek Kazimierz Raczyński; po okupacyi pruskiej umieszczono sądy apelacyjne w murach, które niejeden raz gościły królów i bohaterów dawnej, wolnej Polski.

Dwór polski... Tradycya mówi nam o trzech przedwiecznych imionach, od których poznania się po długim niewidzeniu, otrzymało nazwę miasto. Lech, Czech i Rus. Niektórzy historycy twierdzą, iż nazwa pochodzi od poznania się Bolesława Chrobrego z cesarzem Ottonem III., a raczej od poznania wiary chrześciańskiej.

Już za Mieszka I. wrzało życie dworskie w Poznaniu, który w r. 966 gościł królewicza Emeryka, syna św. Stefana, o czem rozwodzą się historycy madziarscy. Życie to dworskie nie miało owej cechy buńczucznej, ani też mdło - romantycznej, jak inne siedziby średniowiecznych monarchów. Ton nadawała mu świątobliwa Dąbrówka, stawiająca pierwsze kościoły na ziemi polskiej.

W pamiętnym roku 1000 przybył do Poznania cesarz niemiecki, a lud polski szedł naprzeciw niego z radością, witając go jako miłego gościa, niosącego młodej Polsce gałązkę oliwną. Inaczej nieco przyjęli wojowie polscy Henryka II., który naszedł Poznań w pięć lat później. Szerzej popłynęło życie na dworze Bolesława Chrobrego. Uczty, zabawy i igrzyska, oraz dziesiątki sławnych rycerzy zagranicznych, przywożących ze sobą zachodnie obyczaje, zmieniły dawny monotonny tryb życia w barwną mozaikę i nadawały dworowi poznańskiemu cechę europejską, aż po koniec życia potężnego monarchy, a nawet i po jego śmierci, gdyż w Poznaniu, podobnie jak i w Gnieźnie, odbywały się zjazdy dostojników polskich, obradujących nad wyborem nowego króla.

W roku 1038 czeski Brzetysław zburzył Poznań, który mimo to wciąż był miłą siedzibą królów polskich. Po śmierci Bolesława Krzywoustego dostał się Poznań Mieszkowi Staremu, który podniósł swoją rezydencyę, o ile mu pozwalały na to ciężkie czasy wojenne i ciągłe utarczki to z bratem Władysławem, to z Kazimierzem. Przez czas jakiś księciem poznańskim mieni się Odo, syn Mieszka Starego, panujący jeszcze przed skonem ojca, ranionego śmiertelnie pod Mozgawą.

W r. 1216 zjechał do Poznania Władysław Laskonogi jako władca prawowity tego rodu, lecz już w dziesięć lat później poddał się Poznań Władysławowi Odoniczowi. Niedługo potem panem Poznania staje się Henryk Brodaty, jednakże w rok później ustępuje temuż samemu Odoniczowi, po którego śmierci poznańczycy oddają się w opiekę Bolesława Łysego, a wreszcie w 1242 r. obierają Przemysława i Bolesława, synów Odoniczowych.

Za panowania Przemysława dwór zajmuje się skargami rycerstwa przeciw duchowieństwu, później zaś procesem, wytoczonym Tomysławowi i Sędziwojowi Nałęczom, których oskarżono o knowania na rzecz Bolesława Łysego. Po wspaniałym przyjęciu, jakie Przemysław zgotował bratu swemu Bolesławowi, przybył do Poznania dominikanin Gerard, który wyklął wszystkich jawnogrzeszników. Przy tem wszystkiem Poznań podnosi się z dniem każdym, a dwór książęcy, stale w mieście przebywający, czyni je stolicą nietylko z imienia, ale i z dostatku, wyglądy i wpływu, jaki wywierało na resztę krajów. Po Bolesławie Pobożnym panuje w Poznaniu Przemysław II., a miasto wita uroczyście żonę jego Ludgardę, uduszoną później w łaźni... Niedługo potem przyjmował lud poznański drugą żonę Przemysława, Ryksę, a wnet miał sposobność do opłakiwania śmierci swego władcy, zamordowanego zdradziecko przez margrabiów brandenburskich na zapustach w Rogoźnie.

Po Wielkanocy 1298 r. wezwali wielkopolanie Łokietka na tron po Przemysławie II., ale niezadługo walny zjazd poznański wypowiada mu posłuszeństwo i władcą obiera Wacława czeskiego, który po koronacyi w Gnieźnie przybywa do Poznania i poślubia Ryksę, córkę Przemysława. Po jego śmierci wypędzili poznańczycy Czechów i obrali księciem Władysława Kujawskiego, z którym konkurował Henryk Śląski. Pogodził ich Łokietek, wyparłszy obu z Poznania i okolicy.

W roku 1312 miał Poznań aż trzech panów: Henryka, Jana i Przemysława, książąt śląskich,

W marcu 1337 przybył do Poznania Kazimierz Wielki na zjazd z królem czeskim Janem, a w sześć lat później odbyło się tamże wesele Bogusława, księcia szczecińskiego z Elżbietą, córką Kazimierza, który w 1361 r. zjechał do Poznania, przywracając temu staremu grodowi na pewien czas dawną świetność i znaczenie. Gościł później u siebie Poznań królowę Elżbietę i Ludwika Węgierskiego, poczem przez pewien czas władał w Poznaniu margrabia Zygmunt.

Rok 1386 sprowadził do Poznania po raz pierwszy Władysława Jagiełłę, który spędzał tu Wielkanoc i godził zawiści domowe poznańczyków, doprowadziwszy wreszcie do bratniego uścisku pomiędzy Grzymałami a Nałęczami. Ten dobry król, pamiętający o wszystkich swoich dziedzinach, w szczególnej pieczy miał warownię poznańską, którą też prawie co drugi rok odwiedzał, fundując klasztory, stawiając kościoły i piękne budynki. Za każdym razem witała go ludność serdecznie i niewymuszenie, lecz żadne powitanie nie dorównywało temu entuzyazmowi, z jakim go przyjmowano, gdy w roku 1410 wracał z pod Grunwaldu, okryty sławą na cały świat ówczesny.

Wielki król *nie pragnął parady, ni hymnów pochwalnych,* ni zapewnień służalczych, lecz skromnie, z odkrytą głową kroczył pieszo z Pobiedzisk ku Poznaniowi. Ale lud poznański, który całym sercem odczuł zwycięstwo nad krzyżakami, musiał wybuchnąć szczerym zapałem na widok tej potężnej dziejowej postaci. I sunęło rycerstwo z pochylonemi znakami wojennemi, kroczyło mieszczaństwo, niosąc chleb i sól na tacy i cisnął się ludek prosty z dawną pieśnią powitalną: „Witajże nam, witaj! miły hospodynie!..

A chrześciański król przyjmował z prostotą ten wybuch uwielbienia swojego ludu i szedł wprost do świątyni Bożego Ciała, gdzie trzy dni spędził na kornej modlitwie. Poczem znów sądził i godził, i znów zjeżdżał na roczki sądowe, władając sprawiedliwie, i dla siebie samego będąc sędzią najsurowszym. Gdy skrzywdził biskupa poznańskiego Piotra Wisza, na kolana w kaplicy upadł przed nim i o przebaczenie prosił. Tego króla żałował Poznań ze wszystkich najgoręcej, a z pewnością takiego powitania, jakie zgotował przed pięciuset laty Jagielle, nie doznał i nie dozna żaden gość ukoronowany.

W roku 1424 bawił w Poznaniu król duński Eryk. W dwadzieścia lat później widział Poznań huczne wesele siostrzenicy królewskiej Emilii Mazowieckiej z Bogusławem, księciem słupskim. W Poznaniu również zwołał biskup krakowski Zbigniew starszyznę wielkopolską, która obrała królem Władysława III. W roku 1447 dworzanie króla Kazimiera Jagiellończyka, bawiącego podówczas w Poznaniu, smutną pamięć pozostawili po sobie, dopuścili się bowiem szeregu łupiestw przy pożarze nowego miasta.

Niezadługo potem zjawił się w Poznaniu niejaki Rychlik, podający się za króla Władysława Warneńczyka, gdy się go jednak królowa Zofia zaparła, stawiono go pod pręgierzem w koronie papierowej i smagano dwa razy na dzień rózgami, a w końcu rzucono do więzienia, w którym niebawem życie zakończył. Król Kazimierz był częstym gościem Poznania, w którym przyjmował Konrada, księcia Oleśnickiego, jak również poselstwo pruskie, przybyłe z prośbą, aby zamek malborski oddany był pod zarząd szlachty pruskiej. Przyjmował tu także posłów, przywożących warunki układu, zawartego z cesarzem Ferdynandem i poselstwo od księcia Bawarskiego, proszącego o rękę królewnej Jadwigi.

W r. 1493, zjechał na dłuższy czas do Poznania Jan Olbracht, który zatrzymał także w gościnie u siebie przez rok cały posłów: weneckiego i tureckiego. Król Zygmunt I. chętnie przybywał do Poznania wraz z żoną Barbarą, która tu powiła córkę Jadwigę. W Poznaniu oczekiwał Zygmunt *na hołd Alberta, mistrza krzyżackiego,* w tym też mieście przyjmował posłów, Janosza węgierskiego i Ferdynanda czeskiego, których usiłował pogodzić, co jednak nie doszło do skutku, mimo, że pertraktacye ciągnęły się od św. Michała do św. Marcina.

Dnia 14 marca 1537 biskup poznański Jan, syn Zygmunta I., odprawił uroczysty wjazd na katedrę. W obchodzie uczestniczył magistrat na czele jeźdźców i 400 piechoty miejskiej. Bawiła również w Poznaniu ze swym dworem Zofia, córka Zygmunta I„ zaślubiona Henrykowi brunświckiemu. Krótki czas przebywał w Poznaniu Henryk Walezy, podejmowany przez panów wielkopolskich. We wrześniu 1594 r. zjechał do Poznania król Zygmunt III. z królową Anną, gdy powracał ze Szwecyi; później był tu raz jeszcze z rodziną w 1623 roku. W roku 1657 i następnym bawił w Poznaniu przez kilka miesięcy król Jan Kazimierz z całym dworem. Potem już coraz rzadziej widział Poznań swoich monarchów. Ostatniego grudnia 1732 roku zajrzał do starego grodu król August Mocny, w roku 1754 był tu August III.; Stanisław August Poniatowski, którego koronacyę obchodzono uroczyście w Poznaniu w listopadzie 1764 roku, nie zjawił się już w stolicy Wielkopolski.



Papież Eugeniusz IV w drodze do Bolonii.

Poznań tracił z każdym dniem na znaczeniu politycznem i gościł już tylko obcych monarchów, jak np. Napoleona, który ciągnął przez Poznań na Moskwę w maju 1812 roku i powracał przez Poznań w dziewięć miesięcy później. Pamięć o dworze królewskim w starym grodzie Przemysława pozostała wszakże wśród ludu, który chętnie sięga myślą tych czasów, gdy ze starego zamku królewskiego spozierał na miasto biały Ptak polski, gdy surmy zamkowych strażników zwiastowały zjazd monarchy, wniesionego na tron Piastów wolą narodu.

Dawne dzieje...

Czesław Łukaszkiewicz.

Zaprawdę, jako słońce światłość swoją traci, gdy za chmurę zajdzie, tak rozum ludzki od zbytków tępieje.

* * *

Najgłębiej w serca ludzkie patrzą te oczy, które ze serca swego najwięcej łez wylały.

* * *

Kiedy pojawił się pierwszy hakatysta.

W chwili, w której my święcimy Grunwald, powinni hakatyści uczcić pamięć prototypu hakaty, który odnośnie do Polaków pierwszy rzucił hasło zupełnego ich wytępienia.

Był nim „wywłoka“ zakonny, zbieg dominikański, Jan Falkenberg, który w sześć lat po Grunwaldzie wystąpił z pamfletem na króla Władysława, Witołda i Polaków, wzywając równocześnie rycerstwo Europy zachodniej do wytępienia „dziczy“.

W pamflecie tym, tchnącym krwawą nienawiścią, nazywa króla Władysława „bałwanem“, a Polaków „bałwochwalczą hordą“. Są to „odstępcy od wiary i psi bezecni“, godni najsroższych kar na ziemi, a ognia wiecznego w piekle. Obowiązkiem jest cesarza i królów, wszystkich Polaków wraz z królem ich wytępić doszczętnie orężem, a szlachtę i panów polskich „na szubienicach do słońca zwróconych popowieszać“. Kto z monarchów toleruje Polaków, pójdzie niewąt-

pliwie na potępienie, gdyż Polacy zelżyli Majestat Boski. Za tę ciężką zbrodnię nie wystarczy odszczekanie winy; powinni oni być wytępieni i na proch starci. Pamflet ów kończy się następującem wezwaniem, wystosowanem do „wszystkich królów, książąt i przełożonych, tak duchownych, jako i świeckich, a w powszechności do wszystkich, którzy są godni imienia chrześcian“.

„Niech się starają..., ażeby za wygubienie Polaków i ich króla, zapewnili sobie żywot wieczny; co niechaj nam i wszystkim, którzy na zgubę Polaków i ich króla Jagiełły powstaną, raczy dać Jezus Chrystus na wieki wieczne — Amen!“

Bezczelność krzyżacka, pomimo pogromu, była tak wielką, że paszkwil ów, który papież Marcin V. nazwał „fałszywym i bogobojne uszy obrażającym“, rozdawano w Paryżu i to na dworze posła polskiego króla, arcybiskupa gnieźnieńskiego Mikołaja Trąby, który wraz z Zawiszą Czarnym z Grabowa i Janem z Tulukowa, dążył na sobór w Konstancyi. Naturalnie sprawa tego pamfletu podniesioną została ze strony polskiej w dyplomatycznej drodze. Rzecz stała się głośną na soborze w Konstancyi.

„Nie próbował nawet bronić Zakonu — prokurator krzyżacki na soborze konstancyeńskim, Piotr Wormiditt — pisze Ignacy Grabowski — bo nikt nie byłby zaprzeczeniom dał wiary. Pełnomocnik z Malborga przyznał nawet, że wielki mistrz Kuechmeister von Sternberg pamflet przed puszczeniem w świat czytał. Libellus wszakże był za głupio napisany i niezdarnemu niemieckiemu precusorowi świetnego Pietra Aretina, nie przyniósł fortuny“.

Stało się właściwie jeszcze gorzej. Wielki mistrz wynagrodził go wprawdzie czterema grzywnami, ale gdy sprawa poczęła brać przykry dla zakonu obrót, Wielki mistrz krzyżacki kazał niewygodnego autora paszkwila pochwycić i utopić w Wiśle. Falkenbergowi udało się jednak uratować życie wczesną ucieczką, poczem mszcząc się na Zakonie, napisał nowy pamflet, ale na Krzyżaków!

Cienie Falkenberga powstają jednak dziś, gdy trzeba usprawiedliwić konfiskatę wozu Drzymały, ustawy wyjątkowe, kolonizacyę, wywłaszczenie itd. Roje płatnych pismaków czernią nas, nazywają jeżeli nie dziczą, to narodem mniej wartościowym, a dla pokoju Europy wiecznie groźnym. Taką drogą oddziaływuje się na opinię, taką drogą dąży się do rozgrzeszania za wszelkie spełniane na nas zło, płynące z niczem nieposkromionej nienawiści do polskości.

Włoska rodzina królewska.

W uroczej rezydencyi Sacconigi spędza włoska rodzina królewska miesiące letnie, niechętnie udzielając się w tym czasie światu. Jak zapewniają wtajemniczeni w stosunki dworskie, jest to rodzina idealna. Wiadomo, że królestwo pobrali się z miłości. Królowa Helena, wielce sympatyczna, obdarzona niepospolitemi zaletami serca i umysłu, a w dodatku niezwykle piękna, jest wzorem żony i matki. Słodyczą i taktownem postępowaniem, przedewszystkiem zaś nadzwyczajną uprzejmością, zdobyła sobie sympatyę całego narodu. Gdy przed laty piętnastu rozeszła się wiadowość, że ówczesny następca tronu pragnie poślubić księżniczkę czarnogórską, sądzono, iż nie dorosła ona do takiego zaszczytu, aby kiedyś objąć tron po ogólnie szanowanej królowej Małgorzacie. Przypuszczenia zawiodły. Młoda królowa nietylko nie ustępuje w niczem swej poprzedniczce, ale nawet cieszy się o wiele większą popularnością. Nie braknie jej nigdzie, a zwłaszcza tam, gdzie chodzi o pomoc nieszczęśliwym, jak to stwierdziła po strasznej katastrofie trzęsienia ziemi, która nawiedziła południowe Włochy i Sycylię. Na męża ma wpływ ogromny, lecz używa go w najszlachetniejszy sposób, dla dobra poddanych, uważających ją słusznie za opiekunkę i orędowniczkę u tronu królewskiego.

Czworga bardzo sympatycznych dzieci doczekali się królestwo — trzech córek i syna. Najstarsza córka, Jolanta, liczy lat 9, Mafalda 7 i 1/2, następca tronu Humbert 6, najmłodsza Joanna dobiega trzeciego roku zaledwie. Wychowaniem dziatwy zajmuje się królowa osobiście, a gorliwie pomaga jej małżonek, który po za odpowiedzialnemi obowiązkami monarchy, znajduje dość czasu na sprawy domowe.

Król Wiktor Emanuel III niemniejszą od małżonki cieszy się popularnością — nawet wśród socyalistów. Niedawno podczas jakiejś uroczystości, wysłuchał mowy głośnego socyalisty Ferriego, a chociaż Ferri wcale nie przemawiał w sensie monarchicznym, ani wiernopoddańczym, król, po skończeniu mowy, zbliżył się do niego, podał mu rękę i rzekł:

— Dziękuję panu. Wysłuchałem mowy pańskiej z prawdziwem zadowoleniem. Jesteś pan istotnie znakomitym mówcą.

— Dziękuję, Najjaśniejszy Panie — odparł Ferri, ściskając dłoń królewską.



Nad stawem.

I oto stała się rzecz nadzwyczajna: wszyscy obecni na uroczystości socyaliści huknęli z pełnych piersi, jak grenadyerzy na przeglądzie:

— Niech żyje król!

Nieco później Wiktor Emanuel III udzielił posłuchania „towarzyszowi“ socyal-demokratycznemu z Asti. Przybył on do Rzymu ze skargą na władze, czyniące pewne trudności robotnikom, którzy chcieli założyć w Astyi spółdzielczą hutę szklaną. Ku niesłychanemu zgorszeniu mistrza ceremonii, „towarzysz“ przybył na posłuchanie w jasnym żakiecie, z kapeluszem słomianym w ręku.

— Że też nareszcie pana widzę — przemówił

do króla. — Dotychczas znaliśmy pana tylko z marek pocztowych.

Król zaczął się śmiać serdecznie.

— Ba! widzę pana w dobrem zdrowiu i w doskonałym humorze — ciągnął socyalista. — To bardzo dobrze. Jeżeli pan będziesz kiedy w Astyi, proszę zatrzymać się u nas. Pokażę panu naszą hutę.

— Chętnie ją zwiedzę — odparł król.

— Co prawda — perorował socyalista — nie wiem, jak tam będzie z przyjęciem; nie mogę ręczyć, czy robotnicy przyjmą pana bardzo gorąco... ale, że przyjmą z całym szacunkiem, za to odpowiadam. To wystarczy?

— Najzupełniej.

— Gdy robotnik przedstawił swą skargę, król rzekł:

— W tej sprawie wogóle trudno mi zabierać głos. Moi ministrowie często postępują zupełnie inaczej, niżbym tego pragnął w interesie państwa, przed którym ja pierwszy muszę schylać czoło. Ale to przyrzekam panu z całą gotowością, że zrobię wszystko, co będzie w mej mocy.

Robotnik zadowolony wstał. Król odprowadził go do drzwi. Tu robotnik zatrzymał się jeszcze i rzekł z wachaniem:

— Mam jeszcze jedną prośbę, ale... nie śmiem.

— Śmiało, proszę mówić.

— Oto proszę o pozdrowienie królowej, dla której mam cześć głęboką.

— Dziękuję panu. Helena jest ciągle zajęta dziećmi. Gdyby miała trochę wolnego czasu, przedstawiłbym jej pana.

W przedpokoju robotnik stanął przed jakimś dygnitarzem wygalonowanym i klepiąc go po ramieniu, zawołał:

— Setnego chłopa mamy na tronie! Co? No — cóż pan tak oczy wytrzeszczasz? Wal pan ze mną: „Niech żyje król!“ Wart tego, dalipan.

Nie to jest poświęceniem jedynie prawdziwem, rzucić się w otchłań przepaści i zginąć; nie to jest poświęceniem prawdziwem, puścić się na burzliwe morze bez steru i żagli, aby śmierć w nim znaleźć; nie to jest poświęceniem jedynie prawdziwem, spaść jak potok z łoskotem i hukiem, i prędzej jeszcze niżli potok zniknąć. Poświęceniem prawdziwem jest wytrwałość w dobrem.

* * *

Umiej być przyjacielem — znajdziesz przyjaciela.

Balony reklamowe.

Z okazyi ostatnich wzlotów wielkiego balonu sterowego „Parseval 6“, dokonano w Bitterfeldzie ciekawych prób zużytkowania balonów w celach reklamowych. Na białej powłoce balonu ukazuje się w równych odstępach czasu rzucona za pomocą świetlnych aparatów projekcyjnych i wypisana wielkiemi, zdala czytelnemi literami, nazwa i firmy reklamowego przedmiotu. Ponieważ w Berlinie zawiązało się Towarzystwo akcyjne budowy balonów specyalnie w celach wyzyskania tego rodzaju reklamy (już opatentowanej we wszystkich państwach), w połączeniu z przejażdżkami dla pasażerów, przeto ze wszech miar ciekawe są szczegóły, zakomunikowane przez dyrektora owego Towarzystwa jednej z gazet berlińskich:

Zadaniem Towazzystwa jest rozpowszechnienie reklamy w powietrzu. Pierwszej próby dokonano w Bitterfeldzie w obecności specyalnej komisyi miejscowej, oraz przybyłych z Anglii agentów. Reklamy są wyraźne i czytelne w odległości przeszło 200 metrów, i to w nocy, przyczem jadący balonem rzucanych na powłokę obrazów nie widzą. W gondoli znajduje się dynamomaszyna, która produkuje światło w połączeniu z motorem o sile 15 koni mechan. Śrubę główną balonu poruszają 2 maszyny po 125 koni. Po obu stronach głównego korpusu zawieszone są dwie gondole, z których rzucane są jednocześnie na obie strony balonu odpowiednie reklamy. Zamierzone są conocne wyjazdy nie tylko ponad bardziej ruchliwemi ulicami miasta, ale i ponad przedmieściami. W przejażdżkach tych mogą za odpowiednią opłatą brać udział podróżni. Nowy balon będzie miał 80 metrów długości i 70.000 metrów sześciennych pojemności, czyli, że wielkością będzie równy typowi „Parseval VI“ i służyć będzie wyłącznie do wyżej opisanych celów. Przejażdżki będą trwały 1 i pół godziny i kosztować po 100 lub 200 marek, stosownie do umowy i warunków jazdy. Naraz pomieścić się będzie mogło 10 osób oprócz personału stałego. Reklama świetlna będzie się zmieniała mniej więcej co 5 minut. Początkowo wzloty odbywać się będą nad Berlinem i przedmieściami, gdzie też w okolicach Johannisthalu balon będzie miał stałe swoje pomieszczenie. Rzucanie kartek reklamowych z góry, jako przez policę zabronione, będzie zaniechane, ażeby nie płoszyć koni. O ile więc publiczność nabierze zaufania do nowego balonu to Europa ujrzy wkrótce świeży i niezwykły sposób reklamy, będący niezaprzeczenie symbolem XX wieku.



Co się stało.

ZEMSTĄ BOCIANA.

Ciekawe zdarzenie opisują gazety rosyjskie. We wsi Minżyn, w pow. izmajłowskim, na chacie włościanina Kornieja uwiły sobie gniazdo bociany.

Korniej nie lubił tych ptaków, głównie z powodu przesądów. Ujrzawszy więc gniazdo bociana, przeraził się strasznie. Po namyśle jednak postanowił bociana wypędzić. Wszedł na dach, spłoszył ptaka, który siedział na jajach, wyrzucił je z całą nienawiścią z gniazda, poczem gniazdo zrujnował. Dokonawszy tego, chłopek uspokoił się nieco.

Po dwóch dniach, Korniej, zjadłszy obiad, położył się w pobliżu chaty na murawie. Pomimo upału, spał twardo. Nagle zbudził go jakiś syk. Spojrzał i w mgnieniu oka zerwał się na nogi. W pobliżu miejsca, na którem leżał, znajdował się wąż wyprężony, gotowy do rzucenia się na niego.

Korniej pochwycił kapotę, którą miał pod głową i rzucił na węża, poczem go zabił kamieniem. Zaledwie jednak to uczynił i wszedł do izby, usłyszał brzęk stłuczonej szyby w oknie. Obejrzał się. W oknie zobaczył głowę bociana, który w długim swym dziobie trzymał wijącego gada. Bocian wypuścił węża, który, dokonawszy kilku skrętów, wyprężył się, podnosząc łeb do góry. Przerażony włościanin krzyknął i wybiegł z izby.

Przez cały tydzień Korniej spał w innej izbie, nawet nie zaglądając do tej świetlicy, w której bocian wybił szybę i puścił węża. Wreszcie zdecydował się zajrzeć tam i odskoczył z przestrachu, w izbie kotłowało się od wężów.

Chłop zawiadomił sąsiadów, którzy, przyodziawszy długie kapoty i skórzane owczarskie spodnie, uzbroiwszy się nadto w kłonice, rozpoczęli walkę z wężami. Oczywiście wszystkie pozabijano.

Korniej wszakże wpadł w jakąś melancholię, a na widok bociana drży cały.

BAWICIELE.

Najpospoliciej w średnich wiekach używane nazwy na określenie ludzi bawiących publiczność, pochodzą jeszcze z rzymskiej i greckiej starożytności, gdzie każda miała znaczenie osobne. Można też, w nieprzerwanym od starożytności do wieków średnich ciągu, czytać o nich wzmianki w historykach, kodeksach prawnych, kronikarzach, zwłaszcza zaś w pisarzach kościelnych, którzy nieustanną z nimi toczą wojnę, wskazując na niezgodną z chrześciańskiem skupieniem ducha i pogardą świata płochość i ułomność obyczajów, na szkodliwy wpływ ich widowisk, pogaństwem tchnących, bo z pogaństwa wyszłych. Był zaś czas, na przejściu ze starożytności w wieki średnie, kiedy właściwe teatry upadły, kiedy amfiteatry i cyrki w gruzy się rozsypały. Ale i wtedy bawiciele tłumów nie zniknęli. Rasa ich nie wygasła. Pod dwudziestu różnemi nazwami, a zawsze podobna do siebie, nie zatracając swych obyczajów ani fizyognomii, przetrwała wieków dziesięć bez wielkiej zwiany. Spotykamy ich niebawem pod nazwą żonglerów. Widzimy ich czy na dworze królewskim, czy też w biesiadnej sali zamkowej, stamtąd schodzą na publiczne place i ulice miejskie, włóczą się od miasta do miasta, szukają miejsc, gdzie ludność najwięcej się zbiera, więc dają swe przedstawienia przed drzwiami kościołów, gdzie i targi się odbywają. Nastąpiło w ich zawodzie znakomite przeobrażenie, które rozszerzyło, ale równocześnie i obniżyło niezmiernie ich zadanie; połączyli w sobie teraz zdolności dramatyczne z ćwiczeniami akrobatycznemi, w program swoich przedstawień przyjęli kuglarskie sztuki. Ów średniowieczny żongler trudnił się zazwyczaj wszystkiem, czem mógł publiczność zwabić i zabawić, grosz od niej w nagrodę wyłudzić: chodził po linie, nosił ciężary w zębach, chwytał kule lub noże, rzucane w powietrze, oprowadzał niedźwiedzie, małpy lub inne osobliwsze zwierzęta, tańczył, wyprawiał pantominy itp.

Z rozszerzeniem programu bawicieli, przybierają oni najrozmaitsze nazwy. Z biegiem czasu specyalizują się i wyodrębniają coraz wyraźniej. Dziś mamy cały zastęp najrozmaitszych specyalistów, uprawiających wyłączny rodzaj sztuki lub kuglarstwa — więc aktorów, śpiewaków, akrobatów, skoczków konnych i na linie, ekwilibrystów, żonglerów itp. O żonglerach właśnie dajemy szereg interesujących wiadomości.

Żonglerzy obecnie uprawiają wyłączny rodzaj „sztuki“. Występują przeważnie w cyrkach, gdzie się popisują rzucaniem oraz chwytaniem przeróżnych przedmiotów, zwykle piłek, flaszek, talerzy, półmisków. Ten rodzaj kuglarstwa wymaga nadzwyczajnej zręczności, którą się osiąga za pomocą długich i mozolnych ćwiczeń. Niektórzy z nich dochodzą do zdumiewających rezultatów i stają się niezwykle głośnymi. Tak np. w XVI stuleciu nadzwyczajnym rozgłosem cieszył się Piotr Gringoire, urodzony w r. 1475 w Caen; uzyskał on nawet przydomek „króla żonglerów“. Istnieją rysunki z tego czasu, wyobrażające go w stroju kuglarskim, tj. w trykotach w pantalonach obwieszonych błyskotkami, z torbą u pasa, żonglującego trzema naraz przedmiotami jedną ręką. Zwiedził on całą Francyę, popisywał się na jarmarkach i w zamkach szlacheckich. Umarł w r. 1538.

Potem przez czas dłuższy nie słychać o wybitnych żonglerach; produkują się częściej połykacze ognia, linoskoki, siłacze, t. zw. „ludzie węże“, żaden z nich jednak nie odznacza się bardziej wybitnie. Dopiero około r. 1780 zjawiają się lepsi kuglarze. Byli to Chińczycy i Japończycy. Odznaczali się niezwykłą wprawdzie zręcznością, lecz sztuk swoich nie potrafili urozmaicać. Oczywiście, że zjawienie się ich wywołało konkurencyę z kuglarzami europejskimi, którzy okazywali większą pomysłowość, a przebierając się za przybyszów z Dalekiego Wschodu, zmusili ich do opuszczenia Europy. Opanowawszy teren niepodzielnie, nie potrzebowali się już przebierać za Azyatów, wrócili do tradycyjnych trykotów a następnie zaczęli występować w tużurkach i frakach.

Jednym z najgłośniejszych kuglarzy nowszej epoki był Karol Rappo, urodzony w r. 1800 w Insbrucku. Był to żongler siłacz, potrafił rzucać i chwytać jedną ręką 6 kul armatnich. Syn jego, Franciszek, olbrzymiego wzrostu, nie ustępował siłą i zręcznością swemu ojcu. Z własną trupą zwiedził całą Europę, zajrzał nawet do Syberyi. Często odwiedzał Warszawę i tu dawał przedstawienia w cyrku drewnianym, przy niezabudowanej jeszcze wówczas ulicy Włodzimierskiej. Urządzał słynne pantominy czarodziejskie, które cieszyły się wielkiem powodzeniem.

Uczniem Franciszka Rappo był Karol Jan Schaeffer, ojciec całej rodziny kuglarskiej. Był on mistrzem w swym zawodzie bawicielskim, ale prześcignęli go synowie, Sylwester i Seweryn. Sylwester, również jak Rappo, żonglował 6 kulami armatniemi, ale miał też swój własny repertuar: więc kręcąc jedną ręką koło od wozu, utrzymywał je w równowadze, żonglował szklankami



Za motylkiem.

piwa itp. Zawsze występował we fraku. Seweryn doprowadził sztukę żonglowania talerzami do doskonałości; on też pierwszy popisywał się balansowaniem cylindrem szklanym, utrzymywał w równowadze na czole pałace z kart itp. Wyżej stanął syn jego, Sylwester, liczący obecnie lat 25. Jest to kuglarz zdumiewająco wielostronny: maluje z błyskawiczną szybkością na poczekaniu obrazy, jest pogromcą dzikich zwierząt, magikiem, wirtuozem-skrzypkiem, akrobatą, a przedewszystkiem nieporównanym żonglerem. Trudno dać wyobrażenie o jego zręczności: piłki, lampy, stoły, krzesła, laski i kapelusze słuchają jego skinienia. Dotychczas nikt go nie prześcignął.

Słynie też jako żongler-siłacz Paweł Spadoni, urodzony w r. 1870. Z początku był klownem i akrobatą, potem przerzucił się do żonglerstwa. Żongluje kulami armatniemi, chwyta kule, wystrzelane z działa rękoma, utrzymuje granat, ważący 200 funtów, na swym byczym karku. Z pozoru na siłacza nie wygląda. Pomimo ćwiczeń tak ryzykownych, dwa razy tylko poniósł szwank poważniejszy.

Do znakomitych żonglerów należy Karol Hera

z Królewca. Już jako uczeń wykazał on wielką zręczność w grze w piłkę, a rozpoczął karyerę w trupie kuglarzy wędrownych, z małym programem ćwiczeń. Po paru latach stał się głośnym. Niezwykle pomysłowy, potrafi wciąż urozmaicać swoje ćwiczenia. Studyuje nawet mechanikę, aby módz samemu przyrządzać rekwizyty do swoich sztuk. Najciekawszym jego numerem jest żonglowanie trzema trójramiennemi, płonącemi kandelabrami, z trzykrotnym obrotem po za plecami i przy przyciemnionej sali. Wyćwiczenie się w tej sztuce zajęło mu 28 miesięcy. Inna sztuka polega na wyrzucaniu i chwytaniu świec w otwory kandelabra. Nadto Hera ma kilka zdumiewających numerów z utrzymaniem równowagi. Na kiju bilardowym umieszcza karafkę z wodą, na szyjce karafki stawia dwie szklanki, jedna na drugiej, na szklankach umieszcza drugi kij bilardowy, a na jego wierzchołku kielich. I to wszystko, balansując, utrzymuje w równowadze...

Osobliwym kuglarzem jest Street, który pierwszy wpadł na myśl żonglowania na dół. Zaczął od dwóch piłek, a po niezmiernie długiej pracy, doszedł do tego, że żongluje 7 i 8 piłkami, bądź na dół, bądź rzucając je o ścianę naprzeciwko i chwytając stamtąd. Jest on również doskonałym skoczkiem — wywija bez przerwy w powietrzu 12 kozłów, jeden po drugim. Ćwiczył się w Ameryce w r. 1898 i po sześciu latach doszedł do dzisiejszej doskonałości.

Wielkiem powodzeniem cieszą się żonglerzy-komicy. Specyalność ta powstała przypadkowo. Mianowicie pewien niezbyt zręczny żongler, który żonglował więcej na ziemi niż w powietrzu i dlatego był wyszydzany przez publiczność, wpadł na myśl, by zostać żonglerem-klownem. Tak samo przed 50 laty powstała postać „głupiego Augusta“ z niezdarnego stajennego. Słynnymi żonglerami-komikami są: Duńczyk Baggeson i Wiedeńczyk Billward. Ten ostatni, syn dyrektora opery, mając lat sześć, występował na scenie w rolach dziecięcych, lecz już wtedy coś go ciągnęło do żonglerstwa. I ta żyłka przemogła. Po kilku latach usilnej pracy, doszedł do doskonałości w tej sztuce. Lecz rozgłos szeroki uzyskał dopiero, stawszy się żonglerem-komikiem.

Do sztuki żonglerskiej podręczniki nie istnieją — nie można bowiem nauczyć się tej sztuki ani z opisu, ani z rysunków. Żonglerem, zarówno jak i magikiem, trzeba się urodzić. Wrodzone zdolności, zamiłowanie zawodu, wielka cierpliwość i wytrwałość — oto konieczne warunki na żonglera. Przytem niezbędną jest energia, intuicya i pomysłowość — gdyż sztuki muszą koniecznie być wciąż urozmaicane nowymi pomysłami, inaczej znużą publiczność, a żongler nie wyrobi sobie powodzenia. Oczywiście, szersza publiczność nie ma pojęcia, ile przezwyciężyć trzeba trudności, by daną sztukę wykonać szybko i pewnie. Lata całe żongler musi się ćwiczyć, zanim mu się uda opanować dany „kawałek“. Jedna piłka więcej w ręce, jeden obrót jakiegoś przedmiotu więcej, a już trudność jest sto razy większa.

Niewielka zdaje się jest różnica pomiędzy żonglerem początkującym, zaczynającym ćwiczenia z trzema piłkami, a mistrzem, żonglującym już sześcioma. A przecież lata całe przedzielają te stopnie, lata zmudnej, drobnej na pozór pracy, dziecinnego powtarzania jakiejś zabawy, i to od wczesnego ranka aż do wieczora, do chwili, gdy zmęczone ręce odmówią posłuszeństwa. Gdy zaś już ćwiczenia z piłką są pewne, przychodzi kolej na inne przedmioty: na talerze, półmiski, lampy, kije, parasole i kapelusze; dalej przychodzi balansowanie z ciężkiemi przedmiotami, rzucanie i chwytanie płonących pochodni lub świeczników przed sobą lub wtyle; następują sztuki coraz bardziej skomplikowane, jednocześnie z przedmiotami różnej wagi i wielkości. Rzuca się np. jednocześnie kapelusz, rozwinięty parasol i zapalone cygaro, a po kilku rzutach, wszystko powinno się znaleść na swojem miejscu: kapelusz na głowie, parasol zawieszony na prawej ręce, a cygaro w ustach. To znowu żongler rzuce srebrną monetę, chwyta ją okiem, jak monokl, a następnie moneta wpada do kieszonki jego kamizelki. Wszystkie te sztuki musi żongler wykonać pewnie i szybko, jeśli chce zyskać uznanie.

Nawet najbardziej doświadczony żongler musi się wciąż ćwiczyć, żeby nie wyjść z wprawy; czasem nawet mistrzowi sztuki się nie udają. Składają się na to rozmaite okoliczności: złe oświetlenie sceny, zbyt mała scena, zmęczenie po podróży itp. A publiczność nie bierze tego w rachubę i sądzi zawsze z pozoru.

Signor Saltarino.

Przedśmiertne wrażenia samobójcy.

W przeszłym miesiącu odebrał sobie życie inżynier Jan G. z Ochsenfurt w Bawaryi. Czynił on zapiski przed śmiercią. Podajemy je w całej rozciągłości.

„Godzina 5.15: Zażywam pierwszy łyk arszeniku z rumem i arszenik w wodzie. Nie czuję



Ciekawa opowieść.

nic, zdaję mi się tylko, że moje ręce drżą, ale to prawdopodobnie z powodu zdenerwowania.

5.17: Piję — czekam — i czekam! Arszenik rozpuszcza się źle w wodzie!

5.28: Piję trzeci raz. Jak pięknem mogłoby być moje życie, gdyby los nie był tak nieubłagany. Czuję że moja głowa jest ciężka jak ołów.

5.30: Piję czwarty raz, mogę tylko ciężko połykać, jednak jestem całkiem spokojny i wcale

nie zdenerwowany. Zaczynam wątpić, czy to rzeczywiście jest arszenik, kładę rewolwer koło mego łóżka, jednak wolę śmierć od trucizny. Przecież w Grecyi podawano urzędownie puhary z trucizną. Moje myśli są przy mojej Irmie w Z. Głowa cięży mi.

5.42: Piję dalej. — Słońce wznosi się ponad dachy. Symbol życia. A ja mego życia się pozbawiam. O, gdyby można było być człowiekiem bez serca. Sądzę, że są tacy, którzy to mogą. Przebiegam myślami życie moje — nie mam sobie nic do zarzucenia.

5.51: Piję i wsypuję arszenik. Kręgosłupem mogę ruszać tylko z trudnością. Trucizna zdaje się powoli działać. Sądzę, że w tym czasie byłbym jnż u kresu mej podróży. Moje myśli są w B i Z.

5.57: Piję znowu. Jest godzina 6 ta i zwolna przychodzi wybawienie. Sądzę, że już dość wycierpiałem. Czekam i czekam śmierci, a ona przychodzi tak późno, jestem całkiem spokojny i wcale nie zdenerwowany. Bolów żadnych nie czuję. Przecież byłoby lepiej zażyć ciankali zamiast arszeniku.

6.8: Piję znów. Zdaje mi się, że mam zawrót głowy, zresztą niczego więcej nie czuję. Mam lekkie ataki zawrotu głowy, ale przechodzą. Los był dla mnie za srogi. Szczęśliwy byłbym, gdybym miał kamień w piersi zamiast serca.

Jestem śpiący, mam bole głowy, oddech mój staje się ciężki, zresztą jestem przytomny, a członki moje nie straciły wcale swobody ruchów.

6.26: Piję znowu. Już godzina przeszła, a jeszcze niema końca. Głowa mi cięży. Źle brać arszenik nierozpuszczony. Jestem wyczerpany wkrótce się położę. Zasnę wbrew woli. Jest mi niedobrze. Pot mi występuje.

6.40: Muszę pójść do łóżka. Mam kurcze i muszę skończyć. To był tylko rum, piana arszenikowa pływa po powierzchni. Pocę się bardzo. Strugi spływają po mojem ciele. Żeby to już przeszło wkrótce. Patrzę śmierci spokojnie w oczy.

6.45: Piję raz jeszcze — i kładę się do łóżka — jestem zmęczony“...

...Tu urywa się pismo i bezpośrednio potem śmierć nastąpiła. Samobójca pił zatem 10 razy roztwór arszenikowy, zanim śmierć przyszła.

Ach, najgorsze przeznaczenie! i najgorsze to cierpienie, śpiewać, kiedy serce boli! śpiewać temu, co w niewoli!...

TO I OWO.

Elektryczne usypianie.

Od dłuższego czasu trwają już próby zastąpienia dotychczasowych środków narkotycznych, używanych przy operacyach przez inne, mniej szkodliwe w swych następstwach. Ponadto trzeba wiedzieć, że narkoza niejednokrotnie jest niemożliwa z powodu choroby serca u pacyenta. Otóż w r. 1902 profesor z Nantes Ledue — robił doświadczenia, by za pomocą prądu elektrycznego można było tak zadziałać na ośrodki mózgowe i rdzeniowe, by spowodować zupełną nieczułość na ból u operowanego. Doświadczenia te postąpiły obecnie tak naprzód, że istotnie prądem elektrycznym zastanawia się czynności ośrodków nerwowych. Uśnięcie pacyenta pod wpływem prądu elektrycznego trwa dopóty — dopóki prąd przechodzi przez jego ciało — po przerwaniu prądu przytomność natychmiast wraca. Uśpienie to nie pociąga za sobą żadnych szkodliwych następstw.

Pokup na panny.

Są jeszcze kraje na świecie, w których kobiety nie przeważają — liczebnie. Taką obiecaną krainą jest zaludnione emigrantami miasteczko Oukny, w Stanach Zjednoczonych. Na 600–700 mężczyzn przypada tam jedna kobieta. Nie dziw więc. że, gdy przed paru tygodniami przybył osiedleniec z sześciu córkami, sprawiono mu owacyę, a panny znalazły mężów w godzinę i to drogą publicznego przetargu. Dostawały się temu, kto dawał więcej — ojcu. Jedna tylko nie chciała się zgodzić na licytanta, któremu miała przypaść w udziale i oddała swą rękę mniej dającemu. Ponieważ formalności przedślubne nie istnieją w Oukny, zatem w ciągu godziny przybyło miastu sześć par nowożeńców, a ojciec panien stał się zamożnym obywatelem miasta. Owe sześć cór na wydaniu nie zaspokoiły jednak potrzeb miejscowych. Pozostali kawalerowie, za pomocą dzienników, błagają panny, by zechciały przybywać do Oukny, obiecując premię do wysokości 1,000 dolarów. Amatorki znajdą się chyba.

Francuz o policyi pruskiej.

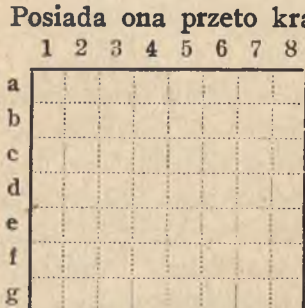
P. Lucyan Estagel, zdając sprawę z rewizyi, jakie policya pruska dokonywała na granicy na gościach powracających z obchodu Grunwaldzkiego, kończy swój artykuł w sposób następujący: „Wystarczy, ażeby odemścić Polaków, wyjawić opinii publicznej świata cywilizowanego te procedery wstrętne. Sądy, które prowadzą wojnę z obrazami, z kartami pocztowemi, które przeszkadzają, ażeby mówiono o bitwie, co miała miejsce przed pięciuset laty, — tem samem dają dowód, jak dzieło ich jest złudne. W 115 lat po ostatnim rozbiorze Polski, żandarmi pruscy jeszcze rewidują i sadzają do kozy kobiety polskie, za przewożenie broszur patryotycznych! Ależ to warte dla Polski kilka zwycięstw podobnych do Grunwaldzkiego!“

DLA ROZRYWKI

Persy.

Persy czyli *warcaby perskie* stanowią u nas grę prawie nieznaną, a nader rozpowszechnioną w państwie szacha. Ma ona tę wielką zaletę, że od naszych warcabów jest o wiele barwniejszą, trudniejszą, dostarczającą więcej kombinacyi, a tem samem bardziej interesującą.

W warcaby perskie grać można na zwyczajnej szachownicy, ale o jeden szereg pól skróconej. Posiada ona przeto kratek 56, jak na figurze.



Każdy z partnerów używa do gry po 16 kamieni, który jeden rozstawia w dwóch szeregach *a* i *b*, drugi zaś w szeregach *g* i *f* po 8, jeden przy drugim, jak figury szachowe. Zadanie gry jest takie same, jak w warcabach zwykłych, t. j. wybić pionki przeciwnika. Kamienie posuwać można nie skośno, lecz naprzód i w bok o jedno pole, np. z *b* 8 można przejść na *c* 8 i stąd na *c* 7. Bije się, przeskakując kamień przeciwnika w tych samych kierunkach o jedno pole, np. z *b* 8 na *d* 8 i stąd na *d* 6, a jeżeli kamień będzie po drodze, to i na *b* 6 (w tył).

Damy tworzą się tak samo, jak w warcabach zwykłych, a zyskują prawo chodu po całych liniach pionowych i poziomych (*g* 8 i *g* 1).

Kamienie idą zawsze naprzód i nie cofają się nigdy; w poprzek zaś mogą chodzić i w prawo i w lewo — w tył można tylko bić.

Gra bardzo ładna i ciekawa. Ważną jej zasadę stanowi obrona bocznych pól szachownicy, przez które przeciwnik najłatwiej może się przedostać na drugą stronę.

Wszystkie kratki na szachownicy mogą być jednej barwy.

Sztuki z kart.

Talię kart rozłóż w ręku wachlarzem i poproś kogoś z obecnych o wybranie jednej karty, twierdząc, że ją odgadniesz. Gdy kartę obejrzano, poproś o położenie jej na wierzch talii tak, ażebyś jej nie widział. Teraz, trzymając talię, załóż ręce w tył, jeżeli sztukę pokazujesz na środku pokoju stojący, lub schowaj je pod stół, jeżeli siedzisz i tam kartę obraną odwróć barwą do góry tak, ażeby ściśle łączyła się z innemi kartami talii. Uczyniwszy to bardzo prędko, wystaw talię przed oczy osoby, która kartę obierała i zapytaj się: „czy ta karta?“ — Oczywiście nie będzie ta, bo kartę obraną masz odwróconą przed sobą. „A jeżeli nie ta — powiadasz — to muszę temu zaradzić!“ Znowu bierzesz ręce w tył lub pod stół, kartę już ci teraz znaną, odwracasz, kładziesz w środek talii, którą otwarcie tasujesz i dajesz do tasowania. Potem zbierasz, liczysz niby karty i efektownie kartę obraną wyrzucasz na stół. Sztuki tej nie pokazuj nigdy drugi raz, bo się łatwo domyślą, jak się robi.

Weź 21 kart i ułóż 3 kupki po 7 kart barwami do góry. W trakcie wykładania niech sobie ktoś kartę obierze z jednej z kupek, a ty masz ją odgadnąć. Po wybraniu karty zapytaj się, w której jest kupce, i kupkę tę włóż w środek dwóch innych, poczem znowu wykładaj trzy kupki, znów pytaj, w której jest karta obrana, i znów kupkę z tą kartą umieść pomiędzy dwiema innemi kupkami. To samo powtórz po raz trzeci.

Gdy się za trzeciem razem dowiesz, w której kupce jest karta, to wiedz napewno, że to będzie czwarta karta z kolei w tej kupce, którą ci wskazują, czyli jedenasta z rzędu po włożeniu kupki pomiędzy dwie inne.

Łamigłówki.

Arytmogryf.

Ułożył czytelnik Bol. K. z Poznania.

1 2 3 4 5 6 7 4 8 9 10 9 11 12 13 1
2 10 9 3 6 4
3 1 10 11 4 3 4
4 3 4 3 4 12
5 9 10 9 12
6 9 8 14
7 4 2 4 3 1 3 1
4 10 4 13
8 4 10 11 1 3
9 11 4
10 14 11 9 10
9 10 14 12
11 1 9 8 9 3
12 9 10 9 3 4 8 4
13 10 4 12 1 5 13 1
1 10 9 3 4

Znaczenie wyrazów.

1) ? ? ?
2) Państwo na półwyspie bałkańskim.
3) Ostateczny cel wyznawców Buddy.
4) Owoc połodniowy.
5) Bogini urodzaju.
6) Dawniejsza nazwa stolicy japońskiej.
7) słynny skrzypek włoski.
8) Ostry napój.
9) Uczony angielski.
10) Imię żeńskie.
11) Inaczej kołowiec.
12) Nazwa Amora w języku greckim.
13) Stolica Austryi.
14) Nazwa muzyki wieczornej.
15) Poeta polski z XVIII. wieku.
16) Imię żeńskie.

Liczby zastąpić literami tak, aby tworzyły 16 wyrazów. Słowa pierwsze i litery początkowe, czytane z góry na dół, dadzą nam imię i nazwisko sławnego pianisty polskiego.

Figiel zagadkowy.

Pierwsze-trzecie kocie dziecię,
W środku tego — syn Noego.

Dokładne rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać najpóźniej do 2. września na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 37.

Rozwiązania

łamigłówek zamieszczonych w nr. 33.:

Metagram: Pac — Pad — Pan — Pas — Pal — Pau — Paw — Paź.

Kwadrat magiczny.

8	1	6
3	5	7
4	9	2

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Władysław Bauer, Michał Chciuk, Justyn Cholewik, T. Francké, L. Goettel, Julian Krzysztofowicz, Helena Mycoń, Alina Panasiewiczówna, Józef Poncza, Stanisław Rogowski, P. Stolarzewicz, Helena Suchecka, J. Steindl, Adam Świerkosz, Eugeniusz Szulc, Anna Wełnianka.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. Stanisława Balcerska, Adam Bartkiewicz, „Błędne Koło", Wanda Bocheńska, Tomasz Cichowski, Z. Gajewska, „Janek z pod Góry Przemysława", Mieczysława Jarmużówna, Stefcia Jaworowska, Zofia Karasiewicz, Fr. Kempski Karol Kołodziejczyk, Marya Konopińska, Franciszek Kopeć, R. Kujawski, Marya Maliszewska, St. Markowiak, Marya Musiał, Hieronim Piechocki, Piotr Promiński, Tadeusz Przybyszewski, Leon Ruszczyński, Zofia Sell, Paweł Słomiany, „Stała czytelniczka", Zofia Wachowska, T. Walińska.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Hieronim Jaworowski z Drezna, Władysław Muth z Karlshorst pod Berlinem, Jadwiga Pankowska z Herne (Westfalia), F. Stamak z Hamborn (Nadrenia), Emilia Świątkowska z Monachium, Walerya Vogtowa z Wattenscheid (Westfalia), Józef Zarzycki z Turynu (Włochy).

Nagrodę otrzymali:

pp. Władysław Muth z Karlshorst pod Berlinem, Wanda Bocheńska z Poznania, Józef Poncza z Bogumina (Śląsk austr.), Alina Panasiewiczówna z Trzebinii-Górki (Galicya).

Uwaga: *Przy rozdawaniu nagród nie uwzględnimy pseudonimów.*

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

NR 35

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Taka gęś wiejska, grająca bohaterkę. Łaskę mi zaczyna świadczyć, pozwala mi się bawić, jakbym jej o pozwolenie prosił. Raczy mi oszczędzać przymusu. Stawia się w roli niewinnej ofiary, mało co brakło, powiedziałaby mi, żebym z Celiną jechał do teatru, ona łaskawie pozwala. Tamta mi sceny zazdrości urządza, a ta mnie traktuje, jak swoją własność, którą raczy innej wypożyczać. Jak mi te baby czasem obrzydną, to pojęcie przechodzi, ale chyba wolę sceny zazdrości, jak cnotę tej Westalki! A to mnie ojciec urządził! Wściec się można!

— Gdzie jaśnie pan każe jechać? — spytał go dorożkarz na końcu Marszałkowskiej.

Opamiętał się. Przypomniał sobie interes w biurze technicznem i kazał się tam wieźć.

W biurze spotkał Dąbskiego, zaczęli gawędzić, i wyszli razem.

— Idziesz do domu na obiad?

— Tak! — mruknął niechętnie.

— Przypominam ci nasze wtorki. Ludzie się śmieją, że jeszcze nie oddaliście wizyt. Długi miodowy miesiąc.

— Czy jeszcze się nami zajmują? Myślałem, że już raczyli zapomnieć.

— Ano, jak zaczniecie bywać, staniecie się powszedni. Teraz jeszcze wszyscy ciekawi twojej żony.

Andrzej ramionami ruszył, i rozstali się.

Gdy otwierał zatrzask, słyszał w mieszkaniu muzykę, tak go zdziwiło, że zatrzymał się chwilę w przedpokoju, potem zajrzał do salonu. Na szelest klamki Kazia zerwała się od fortepianu, zamknęła go i zadzwoniła na lokaja.

— Pan wrócił! Światło do pokoju! — rozkazała, wychodząc do jadalni.

Andrzej cofnął się do swego pokoju, przebrał się i usiadł przed biurkiem. Znudzony się czuł i znużony, nie rad ze siebie i z ludzi. Dziś rano zastał u pani Celiny Maksa Unfrieda! Wprawdzie przekonał się, że wstąpił na chwilę tylko, zdając sprawę jakiegoś polecenia co do bronzowych świeczników, które pani Celina chciała kupić, a bała się, czy nie są podrobione, ale już go „ten drugi“ zirytował, i gdy wyszedł, zrobił dość ostrą uwagę.

Pani Celina na to docięła mu żoną — i po gorącej dyspucie rozstali się w gniewie. Wprawdzie po południu pani Celina przyjechała do biura sama, wyciągnęła go na spacer, pogodzili się, i spędzili rozkosznie parę godzin w pustych Łazienkach, ale on nie mógł odzyskać dobrego humoru i z niesmakiem wspominał dzień ten cały. Na dobitkę z racyi spaceru, nie wykończył roboty pewnej w biurze, szef mu zrobił uwagę, to go do reszty zbuntowało na losy, i teraz niecierpliwie wyglądał ojca, żeby z nim o interesach pomówić.

Gdy usłyszał otwieranie drzwi wchodowych, wyszedł na spotkanie ojca, ale już go Kazia uprzedziła, i witała wesoło, a stary z nią gawędził.

— Spóźniłem się, spotkałem tego sowizdrzała Kołockiego, i tak mi czas zmitrężył. Teraz, córuś, dawaj prędko obiad, bo cię zabieram do cyrku. Dobrze?

— Jeśli ojciec chce, to gotowam. Tylko może mam się przebrać?

Spojrzał po niej krytycznie.

— Możesz iść, jak jesteś ubrana. Zawsze gawiedź będzie lornetowała starego który sobie taką ładną kobietkę dostał! A, jesteś! — zwrócił się do syna. Co mi dziś gadał radca Jasieński, że podobno z młodym Markhamem zakładacie jakąś fabrykę?

— Stary i wiadomy ojcu projekt. Co prawda, mam dosyć biurowej pańszczyzny i za starym na mustrowanie Lorisa?

— Spotkałem i jego. Słyszę, zrobiłeś mu awanturę. Wojowniczo jesteś temi czasy nastrojony.

Usiedli do obiadu. Kazia czuła, że zbiera się na burzę, ale jej zapobiedz, a nawet wmieszać się do rozmowy nie mogła. Zrozumiała teraz rozdrażnienie Andrzeja. Musiał mieć ze zwierzchnikiem gwałtowne przejście.

Prezes przy lokaju nic więcej mówić nie chciał, bo gdy syn żachnął się, i chciał protestować—rzekł:

— Będzie czas. Teraz głodny jestem i śpieszę!

Obiad tedy minął spokojnie, ale gdy przeszli na kawę do gabinetu, Andrzej wybuchnął.

— Loris mnie sobie za niewolnika nie kupił. Może wyzyskiwać innych, ale nie mnie. Te jego sto rubli miesięcznie tyle mi znaczą, co nic.

— Widocznie, kiedy na nie wcale pracować nie chcesz i do biura ledwie raczysz zajrzeć, czy jest na miejscu. Musiał polecić innemu twoje zajęcie, bo ciebie nigdy niema w fabryce.

Kazia nalała kawę, podała teściowi cygara, i zemknęła z pokoju Słyszała jeszcze głos Andrzeja:

— Na fałsz i przesada. Nigdy godzień zajęcia nie opuszczam; dziś wyjątkowo nie byłem, alebym robotę techniczną wieczorem odrobił, gdyby nie scena, którą Loris urządził. Od jutra nie idę do fabryki.

— Jak chcesz. Jesteś pełnoletni! — mruknął prezes.

Zadzwonił na lokaja, i kazał konie zaprzęgać.

— Zostaniesz w domu? — spytał syna.

— Nie, idę do teatru. Wracając do naszej współki z Markhamem, chcemy odkupić interes jego brata, olejarnię. Ustępuje ją nam na bardzo dogodnych warunkach, potrzebujemy na razie sto tysięcy rubli. Czy mi ojciec może temi czasy oddać tę sumę matki? Warunek spełniłem.

— Tak, ożeniłeś się — suma twoja. Możesz ją mieć w każdej chwili.

— Więc mogę już stanowczo mówić z Markhamem. Za dni parę przedstawię ojcu cały interes.

— Dobrze! Ja się ze swej strony dowiem co o tem mówią. Owszem, może zdrowiej będzie dla ciebie większy i własny interes. Będziesz miał mniej czasu na głupstwa. Markham porządny chłopak. No, zatem masz moją sankcyę, ale za to musisz i ty mi ustąpić i posłuchać.

— Co ojciec każe? — spytał Andrzej już dobrym tonem.

— Trzeba, żebyście oddali ludziom wizyty, zaczęli bywać, i przyjmować. Ani tobie, ani mnie nie jest przyjemne, żeby komentowano i krytykowano nasze domowe stosunki. Jak jest, to jest, ale dla towarzystwa trzeba formy zachować. Sam to przyznasz, gdy spokojnie rozważysz. Nie robię ci żadnych uwag, ani daję nauk, ale proszę, zrób to dla mnie.

— Dobrze. Jutro spiszemy, u kogo być mamy i odbędę tę pańszczyznę.

— Dziękuję ci. Z początku będzie trochę rwestu, ale potem sama Kazia będzie rada jaknajmniej bywać, więc będziesz swobodny. W wielu razach ja cię wyręczę. Nie pojechałbyś z nami do cyrku?

— Nie. Muszę być w teatrze.

— Nam czas ruszać!

Wstał i zawołał synową.

Wyszła do przedpokoju, już w kapeluszu.

— Bodaj to wieśniaczka!—zaśmiał się prezes! — Nie każe na siebie czekać. A zadysponowałaś co na kolacyę, bo wrócimy o północy.

— Będzie wszystko gotowe.

— Proszę wziąć żakiet! — odezwał się Andrzej.—Będzie upał nieznośny w cyrku, a w nocy chłodno.

Sięgnęła po żakiet i wzięła go na rękę.

Wyszli wszyscy troje, i wsiadając do powozu — rzekł prezes:

— Siadaj! i ty — wyrzucimy cię przy teatrze.

— Pewnie! — pomyślała Kazia. — Jakby ojciec nie wiedział, że jego teatr na Erywańskiej.

Tymczasem Andrzej usłuchał. Usiadł na przedniej ławeczce i łaskawie raczył do niej przemówić:

— Pojutrze zaczniemy już składać wizyty. Zapewne pierwsza będzie u Dąbskich.

— Jeśli nie macie krewnych — starszych ciotek i wujaszków!

— Naturalnie, zacząć musisz od Wolskich i Dąbrowskich! — potwierdził prezes. — A nie straszno ci tej wędrówki po obcych?

— Boję się tylko, by nie popełnić jakiej niestosowności, dla was kompromitującej.

— Opowiem po drodze, do kogo jedziemy!— rzekł Andrzej. A ma pani wizytowe bilety z obecnem nazwiskiem?

— Nie mam — nie pomyślałam o tem. Jutro rano wstąpię do litografii. Czy dużo złożymy wizyt?

— Co najmniej dwadzieścia.

— O Boże! — westchnęła tak szczerze, że aż się prezes roześmiał.

— A co? Już duch się tłucze! Nie bój się, za jaki rok będziesz w tem pływała, jak ryba w wodzie! No, otóż i teatr. Wysiadasz, Andrzeju?

Powóz stanął. Po chwili jechali tylko we dwoje, i stary rzekł:

— Za rok, mam nadzieję, że to ja sam zostanę, a on z tobą pojedzie! — i westchnął.

— A to ci galant z ojca! — uśmiechnęła się. Mnie bardzo dobrze tak, jak jest dzisiaj.

— Niech się pies udławi takiem dobrem. Jeśli ci to dogadza, trzeba było mnie poślubić!

— Dlaczego ojciec się nie oświadczył? — żartowała dalej.

— Żartujesz, a to mnie najgorzej boli, ta twoja swoboda i obojętność. To dowodzi, że on ci niczem nie jest, niczem!

— Dzięki Bogu, tak! Gdyby inaczej było, w tych warunkach ładne piekło mielibyśmy wszyscy troje. Arrr!—wzdrygnęła się.

— To się zmieni, to musi się zmienić! Gdyby tak zostało jak jest, nigdybym sobie nie darował, że to ja urządziłem!

Milczała, nie chcąc mu prawdy powiedzieć.

Powóz stanął, znaleźli się w ciżbie, i zaczęli w labiryncie kurytarzy i przejść szukać swego miejsca. Gdy usiedli wreszcie w loży, spojrzała ciekawie na arenę, gdy prezes począł rozglądać się po widzach.

Na arenie galopował gruby tarant, a na jego grzbiecie w trykotach i różowych spódniczkach, nie dłuższych, jak kreza, hasała woltyżerka. Przeginała się, skakała przez obręcze, zerkała na galerye, posyłała całusy, a tarant galopował monotonnie, jak wahadło, a w środku areny podrygiwał klown, podciągając białe spodnie, wrzeszcząc, wywijając koziołki, wreszcie siadł na piasku i począł nogą drapać się za uchem, co wzbudziło śmiech homeryczny całej publiki i hałaśliwe oklaski.

Wtedy Kazia spojrzała po ludziach, zdumiona tą idyotyczną wesołością.

Nie spodziewała się zobaczyć i poznać kogo, ale zwróciło jej uwagę troje ludzi, wychodzących z przeciwległej loży. Poznała damę: była to pani Celina. Mężczyzny i drugiej damy nie znała.

— Ona tutaj, on w teatrze. Co to znaczy?— pomyślała i znowu patrzała na arenę.

Prezes tymczasem skończył przegląd publiczności i rzekł.

— Mało znajomych. Jest Radlicz, i radca Zawadzki z żoną. Cóż, bawisz się?

— Bawię się, dziękuję ojcu! — odparła, ale w myśli przypomniała sobie gawędę Staszka Skowronka, że w mieście wszystko, co Boże — w niewoli.

Na arenie były teraz cztery siwe araby, wolno puszczony i musztrował je berajter w obcisłych rajtuzach i botfortach, podniecając konie głosem przepitym i klaskaniem długiego bata. Araby, parskając, chrapiąc, biegały w kółko, zwracały, zmieniały chody, przyklękały, podchodziły do niego, stawały dęba, ale oczy miały senne, ruchy drewniane, i znać w nich było znikczemnienie niewoli, bierne, sztuczne spełnianie obowiązku.

— Moje uszanowanie pani! — ozwał się za nią głos Radlicza.

Drgnęła, zwróciła się, podała mu rękę.

— Witam pana!

— Pani tak uważa na przedstawienie, jak zapewne nikt drugi. Czy pani lubi cyrk?

— Lubię konie. Zresztą jeśli tu jestem, to po to, żeby się przypatrywać widowisku.

Patrzał na nią po swojemu, badawczo, bystro. Jego zmysł artystyczny lubował się w niej. Miała w sobie doskonałą harmonię smukłych linii, złotawo-różowy koloryt twarzy, pogodny wyraz delikatnych rysów, i niebywałą jasność i przejrzystość złotobrunatnych źrenic.

— Ja się w niej rozkocham, jak w zdroju!— pomyślał z dziwną radością, że może patrzeć i mówić z nią.

— Pani mi pozwoli przypatrywać się także razem?

— Proszę pana! — odparła z prostotą.

— Wolno gawędzić?

— O i owszem. Niema racyi milczeć, bo niema czego słuchać!

— Siadajże pan — rzekł uprzejmnie prezes.

Radlicz usiadł poza Kazią i spytał:

— Pani zaprzestała konnych spacerów?

— Moja eskorta chora, ten chłopak stajenny. Jutro go zupełnie stracę. Tak tęskni po wsi, że go muszę do domu odesłać.

— Tak! Ano, to ci drugiego trzeba dostać!— rzekł prezes. — A to ci osieł dopiero, Warszawa mu się nie podoba! Powiedz mi pan, czy tu zawsze takie pustki?

— Jeszcze się napełni po antrakcie. Przyjdą na Karolę.

— Ach tę na trapezie, żonglerkę. Podobno bajeczna!

— Phi, modna! — ruszył ramionami Radlicz — od czasu, jak ją książę Kocio uczynił popularną, cała Warszawa lata do cyrku.

— Podobno kupił dla niej pałacyk po Sandersach w Alejach?

— I parę koni ze Styryi za pięć tysięcy rubli — i czek na toalety, na piętnaście tysięcy rubli miesięcznie, i już nie pamiętam wszystkiego, co opowiadają.

— Każdy w życiu bywa tym zacnym kłapouchem i każdy miewa swoją Tytanię.

— Kazia uśmiechnęła się, milcząc.

— O, pani drwi ze mnie!

— Bynajmniej... Myślałam tylko, jak różne bywają sny nocy letniej.

— A pani jaki był? — spytał.

Obejrzała się na niego, sekundę zatrzymała wzrok na jego zuchwałych oczach, i nic nie rzekłszy, patrzała znowu na arenę.

Radlicz raz pierwszy w życiu uczuł, jakby dostał policzek.

Szczęściem prezes nic nie zauważył, bo już rozmawiał z radcą Zawadzkim, wcale się o sztuki na arenie nie troszcząc.

— Pan ma pracownię w tej samej kamienicy, co panna Ocieska? — zagaiła rozmowę Kazia.

— Pani ją zna, bywa tam?

— Poznałam ją u Ramszycowej i byłam w pracowni. Śliczny ma portret na stalugach — pani Rokickiej.

— Bagatela. Cudna kobieta! Tej nawet Ocieska nie potrafi zbrzydzić. Czy portret obstalował Goldmark?

Kazia zmarszczyła brwi.

— Nie znam pani Rokickiej, ani jej stosunków — odparła niechętnie.

— Ale ją zna cała Warszawa. Rokicki jest szefem biura u Goldmarka. Pyszną ma synekurę dzięki żonie. To dziwne, że portretuje się u takiej pacykarki, jak Ocieska.

— Ciekawem, kto jest kochankiem Ocieskiej. Pan pewnie i to wie?

— Ocieskiej? A jakieżby boskie stworzenie mogło pożądać tego koczkodona? Przecież za to nienawidzi mężczyzn, plwa na nich i pogardza, od czci odsądza!

— Za to? — powtórzyła Kazia. — Aha, to i pana zapewne nigdy nie chciała żadna kobieta!

— Mnie? Dlaczego?

— Ano, bo i pan plwa na nie i od czci odsądza. Bardzo mi pana żal: nic tak nie boli, jak zraniona miłość własna.

Radlicz spojrzał na nią i uśmiechnął się.

— O! pani feministka! — rzekł ironicznie. — Nie do twarzy z tem pani. Proszę to zostawić Ramszycowej i jej klice na pociechę po zawiedzonych nadziejach. Pani za piękna, za urocza, zanadto stworzona do uwielbień i szczęścia.

Szyderczy uśmiech przemknął po twarzy Kazi, w oczach zapaliły się iskry złośliwości.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Pan Maciej Rogowski, westchnął też do owej pięknej francuzicy w Rodosto, która serdecznie się spłakawszy po nim... poszła za jakiegoś greka.

Wierni kochankowie opłakiwali swych miłości zawód i zdradę... żaden przecie na ukochaną nie rzucił przekleństwa.

Z piersi ich rwały się życzenia.

— Niech będzie szczęśliwą!

Karol.. nie domyślał się ani przeczuwał że i on może mógł powiedzieć z niemi.

— Niech będzie szczęśliwą! nie miałby siły dodać. — Choć nie ze mną.

Mandaryn spał znużony z wypróżnioną flaszką rumu na piersiach... Ta go nie zawiodła.

Gorzkie są dnie wygnania nawet gdy do ciepłej piersi tuli brat przybrany — niezapomniana przeszłość stoi między szczęściem a człowiekiem. Były chwile jasne, ale życie snuło się czarno i leniwo.

Pułaski żył tylko walką i pracą. Karol zrazu się nią ożywił, ale oswoiwszy się z krajem i położeniem zatęsknił do domu, do tego wszystkiego, co za oceanem zostawił.

Choroba nieuleczona żalu po swej ziemi, na którą niema ratunku chyba śmierć albo powrót— wślizgnęła się do jego piersi i potajemnie je szarpała. Wstydził się jej, obawiał przyznać, taił z nią, wojował z sobą, a czuł, że ona go łamie i zwycięża. Każda godzina karmiła wzrastającym niepokojem, przeczuciami, w snach widział Polskę, na jawie marzyła mu się Skała, często ze snu zrywał się z sercem bijącem — próżno do mar zwodniczych wyciągając ramiona.

Ale nie byłby się nikomu w świecie przyznał do tego co zrobił, chociaż go zbladła i uwiędła twarz zdradzała.

Pułaski upajał się sprawą wolności wprowadzając ład i porządek, w nieustannych waśniach z podwładnemi. — Niezwykły do hamowania się, gwałtowny, porywczy gdy mu krew do głowy buchnęła — zawsze jednym sposobem usiłował pokonać opór, żelazną wolą i charakterem. W końcu struty pasowaniem się z tą uorganizowaną niechęcią, doprowadzony do ostateczności, zmuszony był prosić o uwolnienie od służby.

Rogowski wysłany został z listem do Washingtona stojącego w Valley-Forge.

Wszyscy dowódzcy którzy byli świadkami trudów i męztwa Pułaskiego, Wayne, przyjazny mu osobiście, przyznawali głośno, że strata takiego generała, pełnego energii i żołnierza niezmiernej odwagi była niepowetowaną, ale Pułaski cofnąć prośby swej nie chciał. Washington ścisły postrzegacz prawa niemógł znowu odwołać niesprawiedliwego wyroku w zajściu z oficerem o samowolą, wydanego przeciw Pułaskiemu.

Stanęło więc na tem że aby Pułaskiego nie stracić, dozwolono mu samemu oddział ochotników zebrać i sformować. W marcu (1778) zdawszy dowództwo dawne, udał się Pułaski do Valley-Forge, a na przedstawienie Washingtona kongres podane zatwierdził warunki.

To nowe zajęcie odżywiło starego konfederata, który natychmiast wziął się do formowania legionu jazdy i piechoty. — Jazda miała mu przypominać polskich ułanów, dano im piki i chorągiewki z kolorami i narodowemi. Rogowski i Karol rzuciwszy bez żalu niechętną sobie drużynę rozwałęsanych i rozpasanych rajtarów, poszli za wodzem.

Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Kawaler wyszedł, a Maurycy nie wstrzymał go żadnem skinieniem.

Zaledwie był za drzwiami, natychmiast Genowefa padła do nóg młodzieńca.

— Przebacz — rzekła — przebacz mi Maurycy wszystko złe, którem ci wyrządziła, przebacz moje oszukaństwa, zaklinam cię na cierpienia i łzy moje! bo przysięgam ci, wielem cierpiała, wielem płakała. — Ah! mąż mój odjechał dziś rano, nie wiem nawet dokąd, i może go już nigdy nie ujrzę, a teraz kiedy mi jeden tylko przyjaciel a raczej brat pozostaje, ty go chcesz zabić. Przebacz, Maurycy! przebacz!

Maurycy podniósł młodą kobietę.

— Cóż począć! — rzekł — wobec nieszczęsnych rządzeń, w obecnych czasach każdy na grę stawi własne życie, kawaler de Maison-Rouge grał także na wzór innych i przegrał. Teraz musi zapłacić przegranę.

— To jest, musi umrzeć, jeżeli cię dobrze zrozumiałam.

— Tak jest.

— Musi umrzeć, i ty Maurycy, ty mi to głosisz!

— Nie ja Genowefo, lecz fatalność.

— W tej sprawie fatalność nie wydała jeszcze ostatecznego wyroku, ponieważ ty go jeszcze ocalić możesz.

— Kosztem mego słowa, kosztem mego honoru. Rozumiem Genowefo.

— Zamknij oczy, Maurycy, nic więcej po tobie nie wymagam, a przyrzekam ci odpłacić tą wdzięcznością, na jaką tylko kobieta zdobyć się może.

— Napróżnobym zamykał oczy, moja pani, istnieje hasło, bez którego nikt ztąd wyjść nie może! bo powtarzam, dom ten jest otoczony.

— I ty znasz to hasło?

— Rozumie się, że znam.

— Maurycy!

— I cóż?

— Mój przyjacielu, mój kochany Maurycy, powiedz mi to hasło, ja je koniecznie znać muszę.

— Genowefo! — zawołał Maurycy — Genowefo! kimże jesteś, kiedy mi mówisz: „Maurycy, w imieniu miłości jaką dla ciebie żywię, złam twe słowo, postradaj honor, zdradź twą sprawę, twe przekonanie, kłam, wypieraj się“. I cóż mi w zamian za to wszystko ofiarujesz Genowefo, ty co mię tak kusisz?

— O! Maurycy, ocal go, ocal naprzód, a potem żądaj życia mojego.

— Genowefo — ponurym głosem odparł Maurycy — posłuchaj mię: jedną już nogą wstąpiłem na drogę bezczelności; lecz pierwej nim stąpię i drugą, wypada, abym sam dla siebie miał silny ku temu powód; Genowefo przysięgnij mi, że nie kochasz kawalera de Maison-Rouge...

— Przysięgam, że kocham kawalera Maison Rouge miłością siostry, przyjaciółki, ale nie miłością kochanki.

— A mnie czy kochasz Genowefo?

— Bóg mi świadkiem, że cię kocham Maurycy.

— Jeżeli więc uczynię zadosyć twojemu żądaniu, czy opuścisz twych rodziców, przyjaciół, ojczyznę, czy uciekniesz ze zdrajcą?

— Maurycy! Maurycy!

— Waha się... o! waha się!

To powiedziawszy Maurycy cofnął się wstecz z całą gwałtownością wzgardy.

Oparta o niego Genowefa uczuła, że nagle usuwa się jej podpora, znowu więc padła na kolana.

— Maurycy — rzekła rozpaczliwie załamując ręce — Maurycy przysięgam, że uczynię wszystko co zechcesz, rozkazuj, jestem posłuszna!

— Będziesz moją Genowefo?

— Skoro tego żądasz.

— Przysięgnij na Chrystusa!

— Boże! — zawołała Genowefa w niebo wznosząc dłonie, przebaczyłeś wiarołomnej żonie, mam nadzieję że i mnie przebaczysz.

I wielkie łzy toczące się po jej policzkach, spłynęły wzdłuż włosów rozpuszczonych i wijących się na jej piersi.

— O! nie, nie przysięgaj tak — rzekł Maurycy — albo nie przyjmę twej przysięgi.

— Boże! — wołała znowu młoda kobieta — przysięgam, że całe moje życie poświęcę Maurycemu, że z nim i jeżeli potrzeba, dla niego umrę, skoro tylko ocali mego przyjaciela, mego opiekuna, kawalera de Maison-Rouge.

— Dobrze, będzie ocalony — powiedział Maurycy.

I poszedł do jego pokoju.

— Panie — rzekł — przywdzij suknie garbarza Morand. Wracam ci twoje słowo, jesteś wolny.

— A ty, pani — dodał mówiąc do Genowefy — pamiętaj te dwa wyrazy: Goździk i podziemie.

I jakby pobyt w pokoju, gdzie wymówił słowa czynią go zdrajcą, przejmowały go zgrozą, otworzył okno i wyskoczył do ogrodu.

III.
Poszukiwania.

Maurycy zajął swe stanowisko w ogrodzie naprzeciw okna Genowefy: lecz w oknie tem już nie było światła, bo Genowefa weszła do kawalera de Maison-Rouge.

Czas też był po temu, bo zaledwie Maurycy dopadł węgła cieplarni, otworzyły się drzwi do ogrodu i pokazał się siwo ubrany człowiek w towarzystwie Lorina i kilku grenadyerów.

— I co? — spytał Lorin.

— Jak widzisz — odrzekł Maurycy — jestem na mojem stanowisku.

— Czy nikt nie usiłował przebić się przez straż? — spytał znowu Lorin.

— Nikt — powiedział Maurycy szczęśliwy, że tego rodzaju zapytanie dozwoliło mu uniknąć kłamstwa — nikt! A wy coście robili?

— My nabyliśmy przekonania, że kawaler de Maison-Rouge przed godziną wszedł do tego domu i od tej pory nie wychodził z niego — odparł policyjny agent.

— I ty znasz jego pokój? — mówił Lorin.

— Korytarz tylko przedziela jego pokój od pokoju obywatelki Dixmer.

— Ah! ha! — rzekł Lorin.

— Do licha! to wcale zbyteczny przedział; widać, że kawaler de Maison-Rouge jest sobie zuch nie lada.

Maurycy uczuł, że mu krew bije do głowy, zamknął oczy i ujrzał w nich tysiące gwiazd.

— Ale, ale!.. a cóż na to mówił obywatel Dixmer? — spytał Lorin.

— Uważał to za rzecz wielce dla siebie zaszczytną.

— No — stłumionym głosem rzekł Maurycy — i cóż postanowimy?

— Oto — odpowiedział policyjny agent — pojmiemy go we własnym jego pokoju, a może nawet w łóżku.

— On się więc niczego nie spodziewa.

— Zupełnie niczego.

— Jaki jest rozkład tych zabudowań? — spytał Lorin.

— Mamy tu doskonały ich plan — rzekł siwo ubrany — pawilon położony w rogu ogrodu, oto jest, wchodzi się do niego po czterech schodach, czy je stąd widzicie? następnie wstępuje się do sieni, na prawo są drzwi do pokoju obywatelki Dixmer: zapewne to ten, którego okno widzieliśmy. W głębi, naprzeciw okna, znajdują się drugie drzwi prowadzące na korytarz, a w tym korytarzu drzwi do pokoju zdrajcy.

— Dobrze, otóż to mi dokładna topografia — rzekł Lorin! — posiadając taki plan można iść z zawiązanemi oczami, a tembardziej z niezawiązanemi, idźmy więc.

— Czy ulice dobrze są obsadzone? — spytał Maurycy z zajęciem, które zgromadzeni naturalnie przypisali obawie, aby kawaler nie umknął.

— Ulice, przejścia, rozdroża i wszystko temu podobne — rzekł siwo ubrany — sądzę, że ani jedna mysz nawet nie wymknie się, skoro nie zna hasło.

Maurycy zadrżał, tak daleko przedsięwzięte ostrożności kazały mu się lękać, aby zdrada której się dopuścił nie była bezkorzystną dla jego szczęścia.

— A teraz — spytał siwo ubrany — ilu ludzi potrzeba do pojmania kawalera?

— Sądzę, że ja i Maurycy sami temu podołamy — odpowiedział Lorin — nieprawdaż Maurycy?

— Tak jest — wyjąkał tenże — zapewne że podołamy.

— Słuchajcie! — powiedział agent policyjny — poco ta niepotrzebna junakiorya, czy wam wiele na tem zależy, abyście go sami ujęli!

— Do pioruna! czy nam na tem zależy — zawołał Lorin — tak mi się zdaje! Nieprawdaż Maurycy, my go koniecznie sami pojmać winniśmy?

Lorin te słowa dobitnie wymówił.

Powiedział wyżej, że już ich zaczynano mieć w podejrzeniu, nie trzeba więc było pozostawić czasu podejrzeniom, które w owej epoce tak szybko wzrastały, iż zawsze przemieniały się w ważną okoliczność, dlatego też Lorin sądził, że nikt nie śmiałby dłużej powątpiewać o sposobie myślenia dwóch ludzi, którymby udało się pojmać kawalera de Maison-Rouge.

— Kiedy więc w istocie chodzi wam o to — rzekł agent policyi — weźmy z sobą raczej trzech albo czterech ludzi, kawaler śpiąc ma zawsze szpadę pod poduszką i dwa pistolety na nocnym stole.

— Ej, do krośset! — zawołał jeden grenadyer z kompanii Lorina — chodźmy wszyscy wszyscy razem, aby nikomu nie dawać pierwszeństwa, jeżeli się podda, zachowamy go dla gilotyny, jeżeli postawi opór, to go rozsiekamy.

— Zgoda — rzekł Lorin — dalej naprzód czy wejdziemy drzwiami, czy oknem?

— Drzwiami — rzekł policyjny agent — może przypadek zrządzi, że w nich klucz znajdziemy, a przeciwnie gdybyśmy wchodzili oknem, wypadłoby wybić kilka szyb, a stąd powstałby hałas.

— A zatem drzwiami! — zawołał Lorin — mniejsza którędy wejdziemy, bylebyśmy weszli. No, Marycy, szabla do ręki!

Maurycy machinalnie wydobył szablę z pochwy, a następnie wszyscy razem zmierzyli ku pawilonowi.

Podług wskazań siwo ubranego człowieka, znaleziono schody prowadzące na ganek, potem przybyto na korytarz, a nakoniec do przysionka.

— Ah! — zawołał uradowany Lorin — klucz jest w zamku.

W rzeczy samej, po ciemku wyciągnął rękę i jak powiedział, dotknął zimnego klucza.

— Nuże obywatelu poruczniku, otwieraj — rzekł siwo ubrany.

Lorin ostrożnie obrócił klucz w zamku, drzwi otworzyły się.

Maurycy otarł ręką potem zalane czoło.

— Otóż jesteśmy — rzekł Lorin.

— Jeszcze nie — wtrącił siwo ubrany. — Jeżeli nasze topograficzne wiadomości są rzetelne, jesteśmy dopiero w pokoju obywatelki Dixmer.

— Możemy się o tem zaraz przekonać — powiedział Lorin — zapalmy świece, jeszcze się tli ogień na kominie.

— Zapalmy raczej pochodnie — rzekł siwo ubrany, bo nie tak łatwo gasną jak świece.

I wziął z rąk jednego grenadyera dwie pochodnie, które zapalił u dogorywającego ogniska. Jednę dał Maurycemu, drugą Lorinowi.

— Widzicie — rzekł — żem się nie mylił, oto drzwi powadzące do sypialni obywatelki Dixmer, oto drugie wychodzą na korytarz.

— Naprzód! na korytarz — powiedział Lorin.

Otworzono drzwi w głębi, które równie jak i pierwsze nie były zamknięte, i naprzeciw spostrzeżono drzwi od pokoju kawalera. Maurycy dwadzieścia razy widział je a nie pytał nigdy dokąd wiodły; dla niego cały świat ograniczał się w pokoju w którym go przyjmowała Genowefa.

— O! ho! — rzekł Lorin po cichu — tu rzecz się ma inaczej, niema klucza i drzwi zamknięte.

— Ale — spytał Maurycy zaledwie mówić mogący — czyście pewni że to tu?

— Jeżeli plan jest rzetelny, tak być powinno — odpowiedział policyjny agent — wreszcie, zaraz obaczymy. Grenadyery, wysadźcie drzwi, a wy zaś obywatele, skoro to nastąpi, bądźcie gotowi natychmiast wpaść do pokoju.

Czterej ludzie, wezwani przez posłańca policyi podnieśli kolby swych karabinów i za danym przezeń znakiem, razem uderzyli we drzwi, które z łoskotem wypadły.

— Poddaj się, albo umrzesz! — zawołał Lorin wpadając do pokoju.

Nikt nie odpowiedział, firanki w łóżku były zasunięte.

— Pilnować wyjścia! — rzekł agent policyi — celuj i za pierwszem poruszeniem firanek, ognia!

— Czekajcie — przerwał Maurycy — ja sam je otworzę.

I zapewne w nadziei, że Maison-Rouge znajduje się za firankami, że go najpierwej ugodzi swym sztyletem lub kulą swego pistoletu, przypadł ku zasłonie, która skrzypiąc zesunęła się po drucie.

W łóżku nie było nikogo.

— Do licha! — rzekł Lorin — niema nikogo!

— Uciekł — wyjąkał Maurycy.

— Niepodobna, obywatele, niepodobna! — zawołał siwo ubrany — powiadam wam, że przed

godziną widziano jak wracał do domu, a nie widziano iżby wychodził, bo wszystkie wyjścia są obsadzone strażą.

Lorin otwierał drzwi do gabinetów, do szaf przeglądał wszystko, to nawet, gdzie materyalnie niepodobna było ukryć się człowiekowi.

— Widzicie jednak, że niema nikogo.

— Nikogo! — powtórzył z łatwem do pojęcia wzruszeniem — w rzeczy samej patrzcie, że niema nikogo.

— A może on jest w pokoju obywatelki Dixmer — rzekł agent policyi.

— O! — zawołał Maurycy — szanujcie pokój kobiety.

— Jakto? — wtrącił Lorin — zapewne, że go szanować będziemy, podobnie jak i obywatelkę Dixmer, ale zrewidujemy.

— Czy obywatelkę Dixmer? — odezwał się jeden grenadyer kontent, że się może popisać z niegodziwym żartem.

— Nie — odpowiedział Lorin — tylko pokój.

— No pozwólcie mi iść naprzód — rzekł Maurycy.

— Idź — powiedział Lorin — jesteś kapitanem, starszemu należy czynić winne honory.

W dopiero opuszczonym pokoju pozostawiono dwóch ludzi, a następnie wrócono do tego w którym zapalono pochodnie.

Mauryey zbliżył się do drzwi prowadzących do sypialni Genowefy.

To raz pierwszy dopiero miał tam wejść.

Serce mu biło gwałtownie.

Klucz był we drzwiach.

Maurycy położył na nim rękę, ale wahał się otworzyć.

— No dalej! — rzekł Lorin — odmykaj!

— A jeżeli obywatelka Dixmer śpi! — odpowiedział Maurycy.

— Zajrzemy w jej łóżko, w komin, w szafy — powiedział Lorin — a jeżeli ją samą tylko znajdziemy, powiemy jej dobranoc.

— Nie — przerwał agent policyi — przyaresztujemy ją. Obywatelka Genowefa Dixmer jest to arystokratka uznana za wspólniczkę młodej Tison i kawalera de Maison-Rouge.

— Otwierajcie zatem — rzekł Maurycy — porzucając klucz, a ja nie aresztuję kobiet.

Agent policyi z ukosa spojrzał na Maurycego, a grenadyery szemrzeć poczęli.

— Oho! — rzekł Lorin — szemrzecie? szemrajcie więc na nas obu, bo ja podzielam zdanie Maurycego.

To powiedziawszy w tył odstąpił.

Siwo ubrany chwycił za klucz, obrócił go żywo, drzwi się otworzyły, a żołnierze wpadli do pokoju.

Dwie świece gorzały na stoliku, ale w pokoju Genowefy, podobnie jak i w pokoju kawalera de Maison-Rouge, nie było nikogo.

— Pusto! — zawołał agent policyi.

— Pusto! — bledniejąc powtórzył Maurycy — gdzież się ona podziała?

Lorin zdziwiony spojrzał na Maurycego.

— Szukajmy — rzekł agent policyi.

I w towarzystwie żołnierzy przejrzał cały dom, od piwnic aż do dachu.

Zaledwie wszyscy obecni odwrócili się, Maurycy, który ich nie spuszczał z oka, sam z kolei wpadł teraz do pokoju, otwierał już pierwej otwierane szafy i pełnym przerażenia głosem wołał:

— Genowefo! Genowefo!

Ale Genowefa nie odpowiedziała, pokój jej w istocie był pusty.

Wtedy Maurycy z pewnym rodzajem szaleństwa także zaczął przetrząsać cały dom, ale wszelkie jego poszukiwania były nadaremne.

Nagle usłyszano wielki zgiełk, u bramy pojawił się zbrojny oddział, zamienił hasło z placówką, zajął ogród i rozsypał się po całym domu. Na czele tego zastępu jaśniał zakopcony pióropusz Santerr'a.

— I cóż! — zapytał Lorina — gdzież spiskowy?

— Jakto! gdzie spiskowy?

— A tak, pytam coś z nim zrobił?

— Mógłbym cię również o to zapytać, bo jeżeli oddział dobrze strzegł wszelkich wyjść, powinien go był pojmać, ponieważ my już go w domu nie zastaliśmy.

— Co mówisz! — wściekle zawołał generał — a więc pozwoliliście mu uciec.

— Nie mogliśmy na to pozwolić, bośmy go nie mieli w naszem ręku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ KOBIECY.

Zbytki w strojach.

„Strój“ — czemu nie przyodziewek? Istotnie czasy teraźniejsze są za poważne, ażebyśmy i nadal jeszcze temu bożyszczu miały hołdować?

Precz ze strojami, bo to zabytek barbarzyński, który nas kobiety z istot rozumnych sprowadza do rzędu manekinów bez woli i zastanowienia i ograbia z szacunku, jakiśmy winne samym sobie.

Skrajną jestem? Może, ale zbyt długo obserwowałem ten objaw niezdrowy kobiet naszych, ażeby o nim mówić spokojnie! — Znam rodziny, u których, jak to mówią — nieprzelewa się; to też skąpią sobie bez miłosierdzia, ale — pozór musi być zachowany, ażeby czasem świat niepoznał, że tam u nich niedostatek!

Zabraknie nawet — czasem wśród zimy na nowe obuwie, ale kapelusze modne muszą być, muszą być woalki, muszą być boa i tym podobne fatałaszki.

Oczywiście takim przykładem dobrze wyposażamy córki nasze na przyszłe życie i na dolę je hartujemy! Czy Wy myślicie, że one w przyszłości zadowolą się tem, czem my się zadawalamy? Stanowczo nie! — ich wymagania spotęgują się jeszcze, bo takie to już konieczne następstwo wszystkiego złego. To też, — o ile myśmy już za ostatni grosz może sprawiały sobie toalety kosztowne, — o tyle córki nasze, gdy im się skończą zapasy z wyprawy, będą je brać na odpłatę, by tylko swej chęci błyszczenia dogodzić. No — i piekło w domu gotowe!

Mężowi i sobie pożywnej strawy, dzieciom mleka odmówią, bo — „brzuch nie szklanka“ — nikt nie widzi, co w nim jest, ale pozór musi być zachowany!

Więc co — założyć ręce i patrzeć bezradnie na to—morowe powietrze? Chyba nie tu — w pierwszej linii powinny te jednostki wystąpić do walki z tą zarazą, których przykład pociągnąłby za sobą ogół cały. A więc — kobiety inteligentne, a opływające w dostatki powinny skromnością i prostotą przeciwdziałać temu przerażającemu zbytkowi. Niech tę wyłączną troskę o stroje dla siebie uzupełnią troską o przyodziewek dla prawdziwie potrzebujących, a każdy grosz w takiej intencyi wydany, sprowadzi nie — przekleństwo mężowskie, ale — Boskie błogosławieństwo!

Wystawa robót kobiecych w Ciechanowie.

Jedno z kół Ziemianek w Królestwie prowadzone pod nazwą „Zgoda“, urządziło wystawę wyrobów tkackich i robót kobiecych w Ciechanowie. Widzieć tam było można przedewszystkiem wyroby uczennic szkoły w Grędzicach, gdzie obok innych działów gospodarczych, prowadzi się także i nauka tkactwa.

Ulepszony warsztat, na którym pokazywała sposób roboty jedna z wyznaczonych Grędzianek, był oblężony przez widzów, którzy podziwiali dokładność i łatwość pracy.

Włościanki należące jako członkinie czynne do kółka wystawiły starannie i ładnie wykończone materyały na suknie, różnego rodzaju płótna, jako też chodniki, ręczniki i obrusy. Prócz tego dostarczyły wiele przedmiotów wykonanych z włóczki, którymi lubią ozdabiać swoje izby. Rodzaj ten mniej zasługuje na pochwałę, z estetyką niema on nic wspólnego a bezużyteczne przedmioty łatwo stają się zbiornikami kurzu, to samo można powiedzieć o różnych robotach szydełkowych, o ile nie służą do ozdoby bielizny. Z uznaniem za to zaznaczyć należy pierwsze próby starannego przechowywania owoców, które zostały wystawione przez włościanki, oraz kwas miodowy wyrabiany przez jedną z nich.

Panie ciechanowskie wystawiły też wyroby założonej przez siebie szwalni współdzielczej. Odznaczały się one dokładnością i elegancyą wykończenia, — uwagę zwracały także prace dzieci z ochronki i sali zajęć przy Towarzystwie Dobroczynności tamtejszem. W czasie wystawy znana działaczka ludowa Antoszka, wygłosiła pogadankę zachęcającą kobiety włościańskie do zajmowania się przemysłem domowym, ogólną jej treść i stawiane postulaty praktyczne podajemy.

Tkactwo na wsi jest dosyć rozwinięte, prowadzone ono jest jednak na starych, nie ulepszonych od lat wielu warsztatach, stąd ślęczenie nad nimi po całych wieczorach i tracenie sił nad mało wydajną pracą, przy ciężko działającym mechanizmie. W celu ułatwienia i udoskonalenia tej pracy zarobkowej, pozakładano w różnych okolicach kraju szkoły tkackie, jak w Grędzicach pod Ciechanowem, w Golach pod Błoniem, w Garwolinie, we Frampolu w Lubelskiem, w Liskowie, w Orysze-

wie pod Żyrardowem, dokąd przeniesiono dawną szkołę ze Stanisławowa: oraz urządzono zimowe kursy w następujących kółkach: w Dłużewie pod Ziemnicą, w Michałkach pod Wysokiem Mazowieckiem, w Policznie pod Garbatką. Uczą tu same panie tkactwa: Przyłubska w Kątach i p. Kuczyńska w Koroszczynie.

Niedosyć jednak utkać materyał na suknię i na bieliznę, trzeba go umieć jeszcze skroić i uszyć dokładnie. Umiejętności tej brakuje po większej części naszym włościankom. W niektórych okolicach zrozumiawszy tę potrzebę, członkinie kółek sprowadziły już sobie na parę miesięcy zimowych nauczycielki kroju i szycia, poduczywszy się, kupiły maszynę, którą wypożyczały kolejno za małą opłatą. Zamiłowanie do haftu utrzymuje się tylko w południowej stronie kraju — w Miechowskiem i koło Słomnik, kobiety noszą tam na głowach białe chustki bardzo pięknie haftowane, haft jednak nie stanowi dotąd gałęzi zarobkowej, jak to jest w Czechach. Tamtejsze kobiety zarzucają haftowaną przez siebie bielizną wielkie składy wiedeńskie — w Krakowie widzimy także wielką ilość koszul ozdabianych przez Czeszki, nasze kobiety włościańskie jeszcze nie zorganizowały się do tego przemysłu. O zdolności jednak ich do zdobnictwa wiedzą przecież wycinanki łowickie, pisanki itp.

Ochronki coraz liczniej zakładane przez dwory, mogą się stać także rozsadnikami praktycznego przemysłu ludowego o ile nie będą wprowadzać robótek bezużytecznych, ale takie działy zarobkowe jak koszykarstwo, guzikarstwo, plecionki ze słomy, hafty. Mogą one dać duży dodatkowy zarobek chłopcom i dziewczętom a zajęcie pożyteczne na zimowe wieczory — w czasie gdy gospodarstwo rolne rąk i trudu nie wymaga. Roboty te powinny następnie być prowadzone zbiorowo po większych izbach, a staraniem nauczycielki udowej lub panienki ze dworu byłoby zorganizowanie przy nich głośnego czytania książek pożytecznych lub pism; byłoby to połączenie pracy zarobkowej z oświatą. Tymczasem peryodyczne urządzanie takich wystaw jak ostatnia w Ciechanowie zainteresować może i zachęcić ogół włościanek do uprawiania przemysłu ludowego i stopniowego udoskonalania wyrobów.

K.

Dom i kuchnia.

Marmulada z borówek lub czernic.

Borówki lub czerniec (ostrężyny) sparzyć gotującą wodą i odcedzić je. Osączone rozgotować bez wody i przecedzić przez durszlak nie przecierając. Na 2 litry tego gąszczu dać $1\frac{1}{2}$ funta cukru w kawałkach i postawić na ogniu. A gdy się kilka razy zagotuje, to zeszumować i w końcu dać do borówek za 10 hal. wanilii krajanej i zaraz odstawić mieszając kilka minut. Póki marmulada ciepła, zlać w lampki i nazajutrz obwiązać papierem pergaminowym. Do czernic nie dodaje się wanilii.

Sztrudel z marmuladą.

Jedną szklankę mąki rozczynić pół szklanką letniego mleka i 2 dekami drożdży. Jak podrośnie dodać 2—3 żółtka, łyżkę surowego masła, cukru 5—7 deka (50—70 gr.) i kilka łyżek kwaśnej śmietany, a mąki 1—$1\frac{1}{2}$ szklanki, ile się wrobi. Ciasto wywałkować na palec grubo i posmarować marmuladą z borówek lub czernic, zwinąć jak w sztrudel w podłuż i włożyć na wązką blachę (cwibakową) wysmarowaną masłem i niech rośnie. Po wyruszeniu posmarować białkiem i ziarnistym cukrem i upiec rumiano. Na wydaniu kraje się sztrudel w krążki.

Chłodnik.

Chłodnik ten przyrządza się z mleka zsiadłego, biorąc na 2 części mleka, I część kwasu ogórkowego i buraczanego np. 2 kwarty mleka $\frac{1}{2}$ kwarty kwasu ogórkowego i $\frac{1}{2}$ kwarty kwasu burakowego.

Mleko dobrze rozbić trzepaczką, wymieszać z kwasem posolić i przecedzić przez sitko. W wazę przed podaniem włożyć: jajka na twardo ugotowne, ogórki świeżo kwaszone, w kostkę pokrajane, dużo zielonego koperku, pietruszki i szczypiorku — wszystko drobno usiekane, pieczone białe mięso t. j. drób, cielęcinę lub jesiotra w drobne kostki pokrajane i kto lubi, może dodać jeszcze szyjki rakowe. Dla jaroszów podaje się ten chłodnik tylko z dodaniem dużej ilości zielenizny, ogórków i jajek. Chłodnik z mleka zsiadłego jest bardzo smaczny i zdrowszy jak ze śmietany, ma jeszcze tę zaletę, że jest tani, może być nawet przyrządzony z mleka podeszłego serwatką. Podać chłodnik bardzo zimny.

Potrawa z młodych indyczek.

Kto chce dać wykwintną potrawę z drobiu, a nie posiada kapłonów, może zastąpić je rocznemi indyczkami, trzeba tylko po ugotowaniu obedrzeć je ze skóry i ułożyć na półmisku pokrajane w filety. Podane z białym sosem, będą wybornie udawały kapłony.

:: HUMORYSTYKA ::

W sądzie.

— Panie sędzio, rana, którą mi oskarżony zadał, była wielkości talara.

— Srebrnego czy rozmienionego na miedziane fenygi!

W restauracyi.

— Panno Andziu, proszę jeszcze o kieliszeczek koniaczku.

— Aby było do pary, nie prawda, panie dobrodzieju?

— Nie; tylko ja mam ka...

— Katar?

— Ach! gdzież tam! Nie zauważyła to panna Andeczka, jak mnie kaszel dręczy?

— A, prawda, prawda. Ale ja myślałam z początku, że to na katar; bo panu dobrodziejowi tak noseczek poczerwieniał.

Ostrożny.

Na polowaniu.

— Panie Icyk dzik leci, strzelaj pan?

— Przepraszam, ale czy w razie jakbym go zabił, rodzina nie zrobi mi nieprzyjemności kryminalne?

Pięć dni.

Gdy ją w pierwszy dzień ujrzałem,
Że kocham mówić nie śmiałem.
Nazajutrz już byłem śmiały
Wyjawić serca zapały.
Trzeciego dnia już się pieszczę
Z jej rączętami drżącemi,
A czwartego czulej jeszcze
Złączyła swe usta z memi.
Piątego nadeszła pora,
Że zaślubiony zostałem,
Lecz tegoż jeszcze wieczora
Dnia pierwszego żałowałem.

Czyli czasem pewien mąż nie daje kursu astronomii swej żonie? — gdyż jej często znaki niebieskie pod oczyma robi.

Szklanka wody.

Mówi gospodarz do chłopca: — Przynieś szklankę wody dla tego gościa.

Chłopiec wchodzi trzymając szklankę wody w ręku.

Gospodarz do chłopca: — Wróć się hultaju, przynieś przecie na talerzu!

Chłopiec się wrócił, wylał wodę na talerz, i niosąc mówił do siebie: — Ciekawy jestem, jak ten gość tę wódę z talerza wypije.

Nagrobki.

Literatowi.

Taka to bywa zapłata
Niejednego literata:
Po śmierci wszyscy mu kadzą,
A za życia jeść nie dadzą.

Dumnemu.

Sam sobą tylko zajęty,
Chodził za życia jak pęcherz nadęty,
A w tym pęcherzu zawsze coś szumiało,
Pękł wreszcie, wiatr wyleciał i nic nie zostało.

Urzędnikowi.

Wielka była polityka
Tego pana urzędnika:
Nie dał zgorszenia nikomu,
Bo kradł zawsze pokryjomu.

Dodatek do rosołu.

— Tu macie mocny rosół dla męża; niech je, niech się krzepi. Jakże podzdrowiał trochę?

— Kapke mu ta lepiej sie zrobiło i smak do jodła mo teroz lepsy...

— Tak? a to wam tu dodam coś do rosołu. Co wolałby? kawałek mięsa, czy makaronu?

— Jezeli juz pani tako łaskawo, toby mu sie jakie stare buciska najwincy przydały, bo Bóg widzi, nie mo sie w co obuć...

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego".

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupczyc w Krakowie.